

Biblioteka  
U. M. K.  
Toruń

301646

*Charles*  
KAROL DICKENS

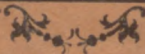
# DZWONY

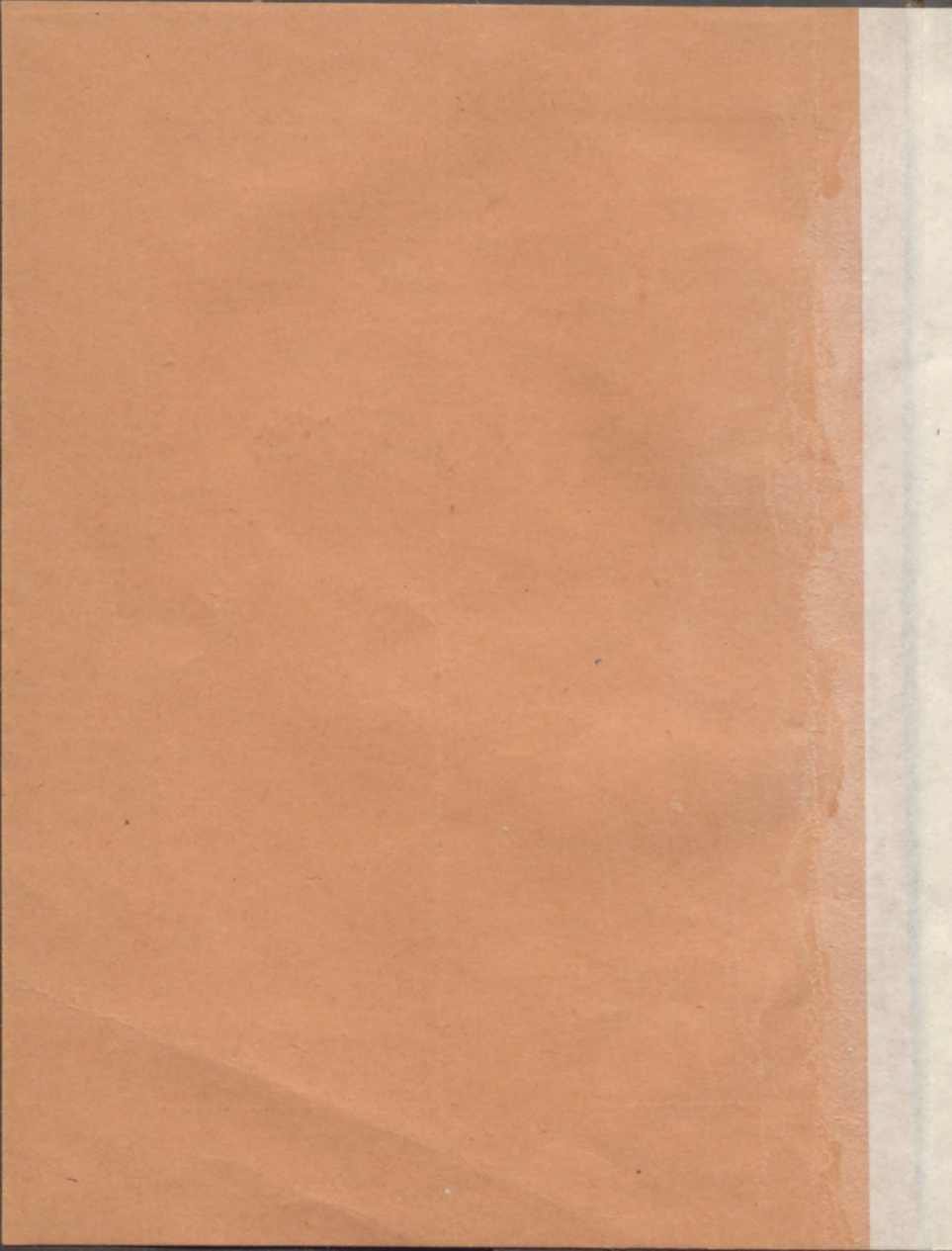
spolszczyła

MARIA KRECZOWSKA

GEBETHNER i WOLFF

KRAKÓW 1946





301646

KAROL DICKENS

# DZWONY

spolszczyła

MARIA KRECZOWSKA

GEBETHNER i WOLFF  
KRAKÓW 1946

KAROL DICKENS

DZWOŃ



301646

GEBETHNER I WOLFF  
KRAKOW 1850

K. 1394/59

## ROZDZIAŁ PIERWSZY

Niewielu ludzi — dla najrychlejszego porozumienia się z czytelnikiem, zaznaczam od razu, że uwagi swej nie odnoszę ani do ludzi młodych, lub należących do niższych warstw, lecz w ogóle do wszelkiego rodzaju ludzi, biednych i zamożnych, młodych i starych, dorastających jeszcze i już dogasających — otóż niewielu ludzi, powiadam, spałoby chętnie w kościele. Nie mówię o spaniu podczas kazania przy ciepłym powietrzu (co się już raz czy dwa razy istotnie zdarzyło), lecz w nocy i samemu. Nie jednego zdziwiło by w wysokim stopniu to twierdzenie, gdybym mówił o spaniu w jasny dzień. Ale ja mówię: w nocy. I należy to rozumieć: w nocy. I jestem tak śmiały, że zobowiązuję się tego dowieść w pierwszy lepszy wietrzny dzień zimowy, na pierwszym lepszym przeciwniku, który przyjdzie do mnie sam jeden, na stary cmentarz, pod stare wrota kościelne, i z góry mnie upoważni do zamknięcia go tam aż do rana — o ile mu coś takiego specjalną sprawia przyjemność.

Bo wicher nocny ma złe przyzwyczajenie waleśniania się i wzdychania dokoła takich budynków, szarpania niewidzialną ręką drzwiami i oknami, celem wyszukania szpary, przez którą mógłby się

wcisnąć. A gdy mu się to uda, jęczy i wyje, jak ktoś, co, nie znalazłszy czego szukał, pragnie się znów wydostać, przy czym nie zadawalnia się wianiem po korytarzach, świstaniem dokoła filarów, uderzaniem w organy o głębokich tonach, lecz wzbija się pod sklepienie, które pragnąłby zburzyć, następnie pada z rozpaczą na kamienne płyty i z pomrukiem zstępuje do podziemi grobowych. I znów wypęła potajemnie i snuje się wzdłuż murów, poezm szeptem zdaje się odczytywać napisy mogilne. Przy jednych wybucha ochryplym śmiechem, przy innych żali się i wzdycha. A upiornie też działa, gdy przycupnie za którym z ołtarzy; zda się tam zawodzić dzikie melodie o mordzie i nieszczęściu i oddawaniu czci fałszywym bogom, mimo tablic z przykazaniami, co wyglądają tak gładko i ładnie, chociaż często były kalane i kruszone. Hu! Nas, siedzących wokół miłego ogniska, niechaj Bóg broni przed taką melodią! Bo straszny ma głos wicher o północnej godzinie, gdy śpiewa w pustym kościele!

A cóż dopiero wysoko w dzwonnicy! Tam dziki ten hulaka świszcze sobie i gwizda do woli! Wysoko w dzwonnicy, gdzie przez niejednego łuk strzelisty i niejednego miły lufcik, może swobodnie wcisnąć się i wyfrunąć, obracać się i wirować w kole krętych schodów, wprawiać w ruch wrzaskliwy kurek na dachu i wstrząsać nawet samą wieżą! Wysoko w dzwonnicy, gdzie krokwie i żelazne rygle rdzą przeżarte, mosiężne i ołowiane dachy skurczone od wiatru i słoty, skrzypią i trzeszczą pod niezwykłymi krokami; gdzie ptactwo buduje nędzne gniazda w kątach starych, dębowych belek i wią-

zadeł, gdzie kurz szarzeje od starości a centkowane pająki, rozleniwiałe w bezpieczeństwie, tłuste swe kadłuby kołyszają w takt drżących falowań dzwonów, nie tracąc równowagi na swych tkanych zamkach napowietrznych, lub nagłym zdjęte niepokojem wspinają się jak majtkowie, albo osunąwszy się na ziemię puszczają w ruch dwadzieścia rącznych nóżek, dla ratowania marnego życia! Wyssoko w starej dzwonnicy, z dala od światła i odgłosów miasta, pod mknącymi obłokami strasznie jest w nocy i upiornie; a właśnie tam wysoko w starej dzwonnicy, znajdowały się dzwony, o których mam opowiadać.

Były to stare dzwony, chciejcie mi wierzyć. Przed wiekami dzwony te zostały ochrzczone przez biskupów; stało się to jednak przed tylu wiekami, że dokumenty chrztu nie istniały już od niepamiętnych czasów i nikt nie znał nazwy dzwonów. Swego czasu miały one swych ojców chrzestnych i matki, a niewątpliwie też swe srebrne serca, ale czas skosił chrzestnych rodziców, a Henryk VIII przetopił serca; tak więc bez imion i bez serc wisiały w starej dzwonnicy.

A jednak nie były nieme. Przeciwnie, dzwony te miały głosy dziwnie silne, donośne i dźwięczne, które na skrzydłach wiatru biegły daleko i szeroko. Dzwony te były też zbyt mocne, by się całkowicie poddawać kaprysom wiatru, a jeśli go trapił zły humor, one śmiało mu się przeciwstawiały i pogodnie ich dźwięki iście po królewsku rozbrzmiewały słuchającym uszom, jeśli zaś uparły się w burzliwą noc dobiec do biednej matki, czuwającej nad chorym dzieckiem, albo do samotnej kobie-

ty, której mąż był na rozhukanym morzu, to potrafiły wtedy zgłuszyć nawet szalejącą północno-zachodnią wichurę jak to opowiadał Toby Beck. Nazywał się Toby, chociaż chętniej go nazywano Trotty Beck, a bez specjalnego aktu parlamentarnego nikt go nie mógł nazwać inaczej (chyba Tobiaszem), jako że swego czasu, — podobnie jak dzwony przed niepamiętnymi wiekami — został ochrzczony prawomocnie, jakkolwiek mniej utorczyście i z mniejszym udziałem radosnych tłumów.

Co do mnie, to piszę się w zupełności na wierzenia Toba Becka i myślę, że dość miał czasu, by wykryć prawdę. A co mówił Toby Beck, to mówię i ja, i staję po jego stronie, chociaż on przez cały boży dzień (ciężka to praca) stał u drzwi kościoła. Toby Beck był bowiem posłańcem i tam czekał na klientów.

Na czekanie tam zimową porą było to miejsce zbyt wietrzne, narażające na gęsią skórkę, siny nos, odmrożenie palców i szczękanie zębami, o czym Toby Beck dobrze wiedział. Szarpiący wiatr wiał od rogu ulicy, mianowicie wiatr wschodni, jak gdyby umyślnie przybywał był z najdalszych krańców ziemi, by dać na Toba. Czasem spotkał go wcześniej, niż się spodziewał, bo przemknąwszy koło zakrętu i Toba, nagle zawracał, jak gdyby mówił: „Ha, oto on!” i zarzucał mu na głowę jego biały fartuszek, niby niegrzecznemu chłopcu. Słaba trzcineczka na próżno prostowała się w ręce i brońiła; nogi drżały i dygotały, a wiatr tak potrzasał i miotał Tobem samym, obracając nim to w tę, to w ową stronę, tak go szczypał i szarpał, tak pchał go i parł przed siebie, że tylko niemal cudem nie został żywcem por-



wany i jak rój żab, ślimaków lub innych drobnych stworzeń, uniesiony w powietrzu w jakiś obcy zakątek ziemi, ku najwyższemu zdumieniu tubylców, dla których posłaniec jest osobą nieznaną. A jednak wietrzny dzień, chociaż tak przykry dla Toba, był dlań pewnego rodzaju świętem. Z całą pewnością. Czas wyczekiwania na zarobienie znów sześciu pensów nie dłużył mu się tak bardzo na wietrze, jak przy spokojnej pogodzie; walka z gwałtownym żywiołem pochłaniała bowiem całą jego uwagę, przy tym odświeżała go i podniecała, gdy na przykład był głodny czy zniechęcony. Tak samo silny mróz lub śnieżycy były dla Toba wydarzeniem, które dobrze nań oddziaływało, chociaż trudno byłoby określić, dlaczego: więc dni wietrzne, mroźne, śnieżne zawieje i burze z gradem były w kalendarzu Toba podkreślone czerwonym ołówkiem.

Natomiast najgorszym jego wrogiem była pora deszczowa; zimna, brudna, przenikliwa wilgoć, otulała go jakby mokrym płaszczem, jedynym, jaki Toby posiadał, a którego brak byłby dlań pożądanym. W dniu dżdżyste, kiedy deszcz padał powoli, gęsto, uporczywie, kiedy ulice przepełnione były mgłą, w której się omal dusił, kiedy wilgocią przesycone parasole pomykały to tu, to tam, okręcając się i obracając jak kęgle, uderzając o siebie na tro-tuarach pełnych ludzi, i pryskając wokół zimnymi kroplami, kiedy ścieki szumiały a z rynien spływały strugi wody, kiedy z wystających murów kościoła „plusk! plusk! plusk!” sączyło się na Toba, że wiązka słomy, na której stał, w krótkim czasie zaczęła butwieć — w takie dni Toba nawiedzała pokusa. Wtedy ze swej kryjówki u rogu kościoła — schro-

nienie tak marne, że w lecie nie użyczało więcej cienia, niż go zwykła deska rzuca na bruk słoneczny — spoglądał tęsknie z twarzą wydłużoną przez troskę. Gdy jednak w minutę później wyszedł stamtąd, by się rozgrzać ruchem, i kilkanaście razy przeszedł się tam i z powrotem, od razu stawał się weselszy i z jaśniejszą już twarzą znów zajmował stanowisko w swym wgłębieniu.

Nazywano go Trotty czyli Kłusak od jego kłusowania, które miało być szybkie, jakkolwiek szybkie nie było. Może, a nawet prawdopodobnie, mógłby być chodzić szybciej, ale pozbawić Toba jego kłusu znaczyłoby przyprowadzić go o chorobe i śmierć. Jego kłus obryzgiwał go podczas słoty błotem, co kosztowało go niezmiernie dużo trudu; mógłby przecież chodzić nieporównanie wygodniej, ale to właśnie był powód, dla którego obstawał przy swym człapiącym kłusowaniu. Z natury słaby, drobny, wątpy, stary człowieczek, w swych dobrych zamiarach był Toby istnym Herkulesem. Chętnie zarabiał należne mu pieniądze. Przyjemność sprawiało mu przedsiębiorstwo — Toby był bardzo biedny i nie mógł się tak łatwo wyrzekać przyjemności — że pieniędzy swych nie zarabia w sposób grzeszny. Gdy za szylinga lub 18 pensów miał gdzieś pójść, czy odnieść mały pakunek, ożywiający go zapal wewnętrzny jeszcze bardziej się potęgował. Kłusując, wołał do szybko przed nim biegnących listonoszów, by mu schodzili z drogi, święcie bowiem wierzył, że w szybkim biegu na pewno ich rozgniecie i przewróci; miał też głębokie, jakkolwiek nie często na próbę wystawione przekonanie, że potrafi dźwignąć wszystko, co ktokolwiek inny unieść zdoła.

Tak więc Toby kłusował nawet wtedy, gdy w słotny dzień wyłaził ze swego schronienia, aby się rozgrzać. W butach podartych, pozostawiając na błocie krzywą linię miękkich śladów stóp, chuchając w zziębnięte ręce i rozcierając je, gdyż od przenikliwego zimna chroniły je tylko wytarte szare, wełniane rękawice, z osobną przegrodą dla wielkiego palca, a wspólną dla pozostałych — ze zgiętymi kolanami i trzcinką pod pachą, Toby ciągle kłusował.

Kłusował nawet wtedy, gdy przechodził tylko na drugą stronę ulicy, by patrzeć na dzwonnice, kiedy rozlegały się dźwięki dzwonów. Takie wycieczki urządzał sobie kilka razy dziennie, bo dzwony były przecież jego towarzyszami niedoli; gdy więc słyszał ich głosy, pragnął też spoglądać ku ich domostwu i rozważać, w jaki sposób wprawiane są w ruch i jakie serca w nich uderzają. Zaciekawiały go te dzwony o tyle może więcej, że nasuwały rozmaite porównania z własną jego dolą. Wisiały tam bez względu na stan pogody, narażone na wichurę i słotę; widziały tylko zewnętrzną stronę wszystkich tych domów; nigdy nie zbliżały się zbyt do tych błyszczących ogni, świecących za oknami, lub wzbuchających z kominów; nie miały udziału w wszystkich tych dobrych rzeczach, które przez drzwi od ulicy, lub przez kraty okien kuchennych podawano kucharzom-smakoszom. W wielu oknach ukazywały się twarze i znów znikaly: czasem ładne, młode, miłe, czasem ich przeciwieństwo; Toby jednak (choć często się nad tym zastanawiał, bezczynnie stojąc na ulicy) wiedział tak samo mało jak dzwony, skąd one przychodziły i dokąd odchodziły, albo też czy, poruszając wargami, w ciągu

całego roku wypowiedziały o nim choćby jedno, życzliwe słowo.

Toby nie był kazuistą — a przynajmniej nie był nim świadomie — to też nie chcę powiedzieć, że w zaczątkach jego sympatji do dzwonów, gdy pierwsza bliższa z nimi znajomość zaczęła się kształtować, analizował swe rozważania lub też urządził formalny przegląd swych myśli. To jednak chcę powiedzieć i mówię, że podobnie jak cielesne funkcje Toba, np. jego narządy trawienia, własną roztropnością i mnogą liczbą operacyj zgoła mu nieznanymi, a których znajomość byłaby go wprawiła w ogromne zdumienie, dochodziły do pewnego celu — tak samo jego władze duchowe bez jego wiedzy i współdziałania wprawiły w ruch wszystkie kółka i sprężyny, w czasie, gdy powstawała jego sympatia do dzwonów.

A gdybym był powiedział: jego miłość, — nie cofnąłbym tego określenia, chociaż nie wyrażałoby ono jego skomplikowanych uczuć. Bo jako człowiek prosty przypisywał on dzwonom charakter dziwnie uroczysty. Były tak tajemnicze: nieraz je słyszano a nigdy ich nie widziano; umieszczone były tak wysoko, w takiej dali, rozbrzmiewały tak głębokimi, mocnymi tonami, że spoglądał ku nim z pewnego rodzaju czcią; a nieraz gdy wpatrywał się w ciemne, łukowe okno wieży, na wpeł jakby oczekiwał, że skinie nań coś, co nie jest dzwonem, lecz tym, co tak często słyszał w ich melodii. Mimo to Toby z oburzeniem odpierał krążące wśród ludzi podanie, że coś straszy w dzwonnicy, gdyż wskazywało to na możliwość łączenia dzwonów z jakimiś złymi siłami. Słowem, dzwony bardzo często dźwięczały

mu w uszach i plątały mu się po głowie, ale zawsze w znaczeniu najlepszym, a bardzo często tak mu sztywniał kark od wpatrywania się z zadartą głową i otwartą gębą w wysoką dzwonnice, w której wisiały, że musiał następnie dwa razy dłużej kłusować, by pozbyć się tej sztywności.

To samo właśnie robił w pewien zimny dzień, gdy ostatni senny dźwięk godziny dwunastej niby olbrzymia, melodyjnie pobrzękująca, lecz wcale nie pracowita pszczoła, wybiegał z wieżycy.

— Ach, południe! — rzekł Toby, kłusując przed kościołem tam i napowrót. — Ach!

Nos Toba był bardzo czerwony, i powieki jego były bardzo czerwone, i często nimi mrugał, i podnosił ramiona w górę, że niemal dotykały uszu, a nogi miał zupełnie zdrętwiałe; krótko mówiąc, temperatura jego zbliżała się do punktu zamrożenia.

— Ach, południe! — powtórzył Toby, posługując się swą rekawiczką z prawej ręki, jak małą rękawicą bokerską, i bijąc się nią w swą zmarzniętą pierś. — Ach-ch-ch!

Potem znów przez jakie dwie minuty kłusował w milczeniu.

— To nic, — znów począł Toby, ale nagle przerwał i z wyrazem wielkiego zainteresowania, a także pewnego niepokoju, zaczął starannie obmacywać swój nos, na całej jego długości. Niebawem był z tym gotów, gdyż nos nie posiadał rozmiarów imponujących.

— Myślałem, że odpadł, — rzekł Toby do siebie, kłusując dalej. — Wszystko jednak w porządku, choć co prawda nie mógłbym mu robić wyrzutów,

gdyby się oddalił; ciężką ma służbę na tym zimnie, a niewiele może mieć nadziei, jako że nigdy nie miewam kataru. W najlepszym wypadku, biedne to stworzenie nie mało się namęczy; bo jeśli nawet czasem powącha coś dobrego, to zdarza się to rzadko, i tylko z cudzych rondli.

Myśl ta nasunęła mu drugą, której nie doprowadził był do końca.

— Nie ma nic regularniejszego, — mówił do siebie Toby, — od powracania pory południa, a nic nieregularniejszego od powracania posiłku południowego. Na tym polega wieka między nimi różnica. Wiele potrzeba było czasu, zanim to odkryłem. Radbym wiedzieć, czyby się też jakimś gentlemanowi opłaciło zakupić to spostrzeżenie dla jakiej gazety lub parlamentu.

Toby tylko żartował, gdyż sam poważnie kręcił głową w dowód nieufności.

— Gazety, — rozmyślał, dalej Toby, — same mają przecież dość spostrzeżeń, a tak samo parlament. Oto ostatni numer tygodnika. — Wyjął z kieszeni bardzo brudną gazetę i rozłożył ją w odległości łokcia od oczu. — Pełno w niej spostrzeżeń! Pełno spostrzeżeń! Już to ja na prawdę z największym upodobaniem czytuję gazety, — powoli mówił Toby, znów składając gazetę i wsuwając ją do kieszeni, — ale teraz, czytam je ze wstrętem. Wprost przejmują mnie lękiem. Nie wiem, co się stanie z nami biedakami. Dałby Bóg, by najbliższy Nowy Rok przyniósł nam coś lepszego!

— Tatkul Tatkul! — odezwał się miły głos w pobliżu.

Ale Toby nic nie słyszał, w dalszym ciągu kłusując tam i napowrót, w głębokiej zadumie mówiąc do siebie samego.

— Zdaje mi się, że nie umiemy znaleźć należytej drogi, czy też postępować jak należy, lub może zdobyć sobie praw, — mówił Toby. — Co do mojej osoby, to niewiele się uczyłem za młodu i nie mogę wymiarkować, czy mamy coś do czynienia na ziemi czy też nie. Nieraz sobie myślę, że musimy chyba mieć tu trochę do zrobienia, a innym razem myślę znowu, że jesteśmy tu tylko intruzami. Nieraz mi się tak wszystko mąci w głowie, że nie jestem w stanie wyrozumieć, czy jest w nas co dobrego; czy też z natury jesteśmy źli. Zdaje się, że robimy rzeczy straszne; zdaje się, że spełniamy wielki trud i pracę; zawsze się jednak na nas uskarżają i zawsze mają się przed nami na baczności. W ten czy ów sposób, nami zapełniają gazety. I mówić tu o Nowym Roku! — smutnie mamrotał Toby. — Ja potrafię wytrzymać tyle, co każdy inny, a przeważnie nawet więcej, bo mocny jestem jak lew, co nie każdy może o sobie powiedzieć. Przyjawszy jednak, że na prawdę tak jest, że nie mamy prawa do Nowego Roku... przyjawszy, że jesteśmy tylko narzucającymi się intruzami...

— Hej! Tatku, tatku! — znów się odezwał miły głos. Tym razem usłyszał go Toby, wzdrygnął się, przystanął i cofając wzrok, wysłany w dal, jakby dla zdobycia wyjaśnienia w sercu Nowego Roku, ujrzał się naprzeciw swej córki i spojrzał jej w oczy, w które spoglądać mógł cały świat i nie dociec ich głębi. Oczy to były czarne, odbijające te oczy, które się w nie wpatrywały, nie rzucające błysków, chyba

gdy właścicielka ich miała po temu ochotę, lecz pełne jasnych, spokojnych, trwałych i głębokich promieni, spokrewnionych ze światłem, przez niebo do bytu powołanym. Piękne, wierne oczy, promienne nadzieją, młodą, świeżą nadzieją; oczy tak przepelnione nadzieją, tak silne i jaśniejące, mimo dwudziestu lat pracy i ubóstwa, na które już spoglądały, że dla Toba stały się one głosem, który rzekł: — Myślę, że mamy coś do zrobienia na ziemi — choćby trochę!

Toby ucałował usta, należące do tych oczu, a ręce swe przytulił do kwitnącej twarzyczki.

— Cóż, Małgosiu, — rzekł — co słyhać? Nie spodziewałem się, że dziś przyjdziesz.

— I ja się nie spodziewałam, — odrzekła dziewczyna, kołysząc głową i uśmiechając się. — Jestem jednak! I w dodatku nie sama, nie sama!

— Nie chcesz chyba powiedzieć, — odparł Trotty, z ciekawością przyglądając się zakrytemu koszywi, który niosła na ręce, — żeś...

— Spójrz tylko, tatku, — rzekła Małgosia, — powąchaj!

Trotty z wielkiego pośpiechu chciał od razu podnieść pokrywę, ale dziewczyna żartem ją przytrzymała.

— Nie, nie, nie! — broniła, dziecinnie rozbawiona. — Musisz sobie trochę przedłużyć przyjemność. Trochę tylko odchyłę pokrywę kosza — tylko troszeczkę... — I zrobiła to z największą ostrożnością, mówiąc przy tym tak cicho, jakby się obawiała, że coś w koszyku usłyszy jej słowa. — Tak! A więc co w nim jest?



Toby skwapliwie obwąchał brzeg kosza i wykrzyknął z zachwytem: — Ach, tam jest coś ciepłego!

— Gorącego! — potwierdziła Małgosia. — Ha, ha, ha! Coś gorącego!

— Ha, ha, ha! — zaśmiał się Toby, podskakując do góry. — Coś gorącego!

— Ale co? — zapytała Małgosia. — Nie odgadłeś jeszcze, ojczy, co tam jest. A musisz to zrobić. Ani myślę otworzyć kosza, zanim nie odgadniesz. Tylko nie tak spiesznie! Poczekaaj chwileczkę! Jeszcze odrobinę odchyłę pokrywę! A teraz zgadnij!

Małgosia lękała się wprost, by nie odgadł zbyt szybko, cofała się więc, podsuwając mu równocześnie kosz. Podnosiła przy tym do góry swe kształtne ramiona i zatykała sobie ucho ręką, jak gdyby w ten sposób mogła cofnąć z ust Toby trafną odpowiedź, a przez cały czas chichotała z cicha.

Toby tymczasem, opierając ręce na obu kolanach, pochylił się nad koszem i nosem głęboko wciągnął wydobywającą się woń; cichy uśmiech rozprzestrzenił się na jego ogorzalej twarzy, jak gdyby wchłaniał gaz rozweselający.

— Ach! To coś bardzo dobrego, — rzekł Toby. — To jest... nie, to pachnie delikatniej niż kiełbasa. Pachnie nadzwyczajnie! I coraz ponętniej! Za ostrą to woń na cielące nóżki. To nie nóżki!

Małgosia nie posiadała się z radości. Nie mógł się już bardziej pomylić! Cielące nóżki, albo kiełbasa... Ha, ha, ha!

— Czyżby wątróbka? — zadawał sobie pytanie. — Nie, pachnie tak jakoś miętko, że to nie może być wątróbka. Wieprzowe nóżki? Nie. Na wieprzo-

we nóżki to znów zapach zbyt wyraźny. Na głowy kogucie znów za mało ostro. A kiszka też to nie jest. Teraz ci już powiem, co to jest: to kruszki!

— Nie, nie kruszki! — serdecznie śmiała się Małgosia. — Nie, nie zgadłeś!

— Och, co ja też mówię! — rzekł Toby, przybierając nagle postawę możliwie najbardziej prostopadłą. — W końcu nie będę już wiedział, jak się sam nazywam. Przecież to flaki!

Tak było istotnie, a Małgosia, promieniejąc radością, zapewniała go, iż za pół minuty przyzna, że lepszych flaków nie jadł nigdy w życiu.

— A teraz, — mówiła Małgosia, żywo krzątając się koło kosza — zaraz ci nakryję, tatku! Bo flaczki przyniosłam w misce, a miskę obwiązałam chustą; a skoro raz chcę mieć tę satysfakcję i użyć jej jako obrusa, to żadna ustawa nie może mi tego zabronić; nieprawdaż, tatku?

— Chyba nie, moje dziecko, — odparł Toby; — jakkolwiek oni tam co chwila z coraz to inną występują ustawą.

— A pamiętasz, tatku, co ci niedawno wyczytałam z gazety, o tym sędzi, który powiedział, że my, biedacy, powinniśmy znać wszystkie ustawy. Ha, ha, to nieźle! Wielki Boże, za jakich mądrych oni nas uważają!

— Tak, moje dziecko, — odparł Toby, — szanowaliby też takiego, coby je znał naprawdę. Utyłby przy robocie, jakąby otrzymał i cieszyłby się sympatią wszystkich ludzi wykształconych. Z pewnością!

— I z aptetytem jadłby swój obiad, gdyby tak pachniał, jak ten, — wesoło rzekła Małgosia. — A te-

raz prędko, tatku, bo jest także kilka gorących kartofli i pół butelki piwa. Gdzie chcesz jeść: na słupie, czy na schodach. Ach Boże, jakie z nas wielkie państwo! Mamy do wyboru dwa miejsca.

— Dziś na schodach, Małgosiu, — odparł Toby.  
— Przy pogodzie na schodach, podczas deszczu na słupie. Na schodach zawsze wygodnie, bo można usiąść, ale w słotę spływają z nich całe rzeki.

— Więc tu, — rzekła Małgosia, klaszcząc w dłonie. — Wszystko gotowe! I tak to ładnie wygląda! Siadaj, tatku, siadaj!

Od chwili, gdy Trotty odgadł, co kosz zawiera, stał nieruchomo, patrząc i mówiąc do niej w roz-targnieniu; wyraźny znak, że pomijając nawet flaki, i chociaż córka była przedmiotem, zymającym na uwięzi jego oczy i myśli, to jednak nie myślał o niej, ani jej nie widział taką, jaką była w danej chwili, lecz jakiś fantastyczny, nieokreślony obraz czy dramat jego przyszłego życia, majaczył w jego wyobraźni. Donośnym jej wezwaniem zbudzony ze snu, chciał melancholijnie potrząsnąć głową, lecz się opanował i kłusem podbiegł ku niej. W chwili gdy chciał usiąść, odezwały się dzwony.

— Amen! — rzekł Trotty, zdejmując kapelusz i wznosząc ku nim oczy.

— Tatku, amen mówisz do dzwonów? — zapytała Małgosia.

— Bo głosy ich, córeczko, zabrzmiały mi nagle jak modlitwa! — odparł Trotty, siadając. — Piękną by odmawiały modlitwę, gdyby umiały. Mnie mówią one tyle rozmaitych rzeczy!



— Dzwony, tatku? — zaśmiała się Małgosia, stawiając przed nim miszkę i kładąc obok nóż i widelec.  
— Co też ty mówisz!

— No, mnie się zdaje, że opowiadają mi o wielu rzeczach, — odparł, z wielkim apetytem zabierając się do obiadu. — Ale o cóż chodzi? Skoro ja je słyszę, to cóż z tego, czy mówią, czy nie? Ach, Wielki Boże, — mówił dalej, widelcem wskazując wieżę i coraz bardziej ożywiając się przy jedzeniu. — Ileż to razy słyszałem jak dzwony te mówiły: — Toby Beck, Toby Beck, bądź dobrej myśli. Toby Beck, Toby Beck, bądź dobrej myśli! — Jakie milion razy to słyszałem!

— Też coś! — rzekła Małgosia.

Nieraz to już jednak słyszała, gdyż Toby ustawicznie mówił o dzwonach.

— Gdy interesy idą źle, — mówił Toby, — tak bardzo źle, że już nie może być gorzej, one mi zawsze dzwonią: — Toby Beck, Toby Beck, wnet się coś stanie.

— I ostatecznie coś się staje, tatku, — rzekła Małgosia z odcieniem smutku w melodyjnym głosie.

— Zawsze, — potwierdził Toby, bez żadnej podejrziwości. — Nigdy mnie nie zawiodły.

Podczas tej rozmowy, Toby bez przerwy przypuszczał atak do stojącego przed nim pachnącego posiłku, krając i jedząc, krając i popijając, krając i żując, od flaków przechodząc do kartofli, a od kartofli do flaków, z doskonałym, niesłabnącym apetytem. Gdy jednak w pewnej chwili rozejrzał się po ulicy — na wypadek, gdyby ktoś z okna, czy z drzwi wzywał może posłańca — oczy jego w drodze powrotnej spotykały się ze spojrzeniem Małgosi, która

siedząc naprzeciw niego z założonymi rękami, z radosnym uśmiechem przyglądała się jego postępowi w jedzeniu.

— Niech mi Bóg wybaczy! — wykrzyknął Toby, opuszczając nóż i widelec. — Moja gołąbko, Małgośiu! Cemu mi nie zwróciłaś uwagi, że jestem tak nieroztropny?

— Jakto, tatku?

— Ot, siedzę tu, — ze skrucłą tłumaczył się Toby, — i napycham sobie żołądek i brzuch, a ty siedzisz przede mną na czczo, pościsz i nie chcesz jeść, gdy...

— Ja już jadłam, tatku, — przerwała córka. — o poszczeniu nie ma mowy: jadłam przecież.

— Głupstwo, — odparł Trotty, — dwa obiady tego samego dnia! To niemożliwe! Tak samo mogłabyś mi opowiadać o dwóch świątach Nowego Roku w tym samym dniu, albo o tym, że przez całe życie miałem funt sterlingów i nie ruszyłem go.

— A jednak jadłam już obiad, — rzekła Małgosia, podchodząc bliżej. — Jeśli zabierzesz się z powrotem do swojego, to ci zaraz odpowiem, jak się to stało i gdzie; i powiem ci też, jak się to stało, iż mogłam tobie coś przynieść i... jeszcze coś innego.

Toby wciąż jeszcze nie dowierzał, ale córka patrzyła nań serdecznie, kładąc mu rękę na ramieniu, i prosiła, by jadł, dopóki jeszcze wszystko ciepłe; więc Trotty znów ujął nóż i widelec i ponownie zabrał się do dzieła, ale znacznie powolniej niż pierwszej i potrząsając głową, jak gdyby nie był z siebie zadowolony.

— Ja, — zaczęła Małgosia po chwilowym wahaniu, — jadłam obiad z Ryszardem. Wcześniej dziś

obfadował, a ponieważ przyniósł z sobą jedzenie, gdy przyszedł do mnie w odwiedzin, więc... podzieliliśmy się nim.

Trotty połknął łyk piwa i oblizał się, po czym w odpowiedzi, na którą córka zdawała się czekać, rzekł: — O — o!

— I Ryszard mówi, tatku... — podjęła znów Małgosia, lecz zaraz urwała.

— Cóż mówi, Małgosiu? — zapytał Toby.

— Ryszard mówi, tatku... — znów urwała.

— Ryszard coś długo mówi, — zauważył Toby.

— Mówi więc, — znów zaczęła Małgosia, podnosząc wreszcie oczy i mówiąc głosem wprawdzie drżącym, lecz wyraźnym, — Ryszard mówi, że znów upłynął rok, na co więc zda się czekać z roku na rok, gdy przecież jest to nieprawdopodobne, by się nasze położenie zmienić miało na lepsze? Mówi, tatku, że teraz jesteśmy biedni, a później też będziemy biedni; ale teraz jesteśmy młodzi, a lata uczynią nas starymi zanim się obejrzymy. Mówi, że gdyby tacy biedacy, jak my, chcieli czekać, aż nam się droga wyprostuje, to wpierv dostalibyśmy się na tę wąską drogę, która wszystkich wiedzie... do grobu.

Człowiek bystrzejszy niż Trotty Beck, musiałby skupić całą bystrość umysłu, by móc temu zaprzeczyć. Trotty milczał.

— I pomyśl, tatku, jak smutno byłoby się zesterzeć i umrzeć z myślą, że moglibyśmy się przecież wzajemnie pocieszać i pomagać sobie. Jak ciężko było by nam kochać się przez całe życie, gdy każde pracowałoby i dręczyło się z osobna i patrzyło, jak drugie męczy się i starzeje, i siwie-

je. Nawet w najlepszym wypadku gdybym go potrafiła zapomnieć (czego nigdy nie potrafię), jakże ciężko ojciec kochany, mieć serce tak gorące jak moje, i czuć, jak ono stopniowo usycha, i nie mieć ani jednego wspomnienia szczęśliwej chwili w życiu, które by mi pozostało, pocieszało mnie i uszlachetniało, gdy wszystko mnie opuści.

Trotty siedział cichutko, Małgosia ocierała łzy z oczu, po czym podjęła już weselej, to śmiejąc się, to wzdychając, to śmiejąc się i wzdychając równocześnie: — A więc Ryszard mówi, tatku, że ponieważ na jakiś czas ma zapewnioną robotę, a ja go kocham już całe trzy lata — ach, nawet dłużej, chociaż on o tym nie wie — więc w dniu Nowego Roku się pobierzemy. On mówi, że to najlepszy i najszczęśliwszy dzień w roku i niemal napewno przynosi szczęście. Wprawdzie to krótki termin — nieprawdaż tatku? — ale nie potrzebujemy przecież czekać na uporządkowanie moich spraw majątkowych, ani na uszycie ślubnej sukni, jak u wielkich pań. Czyż nie, tatku? To powiedział tak, jak on to umie, tak poważnie i stanowczo; a przytem tak dobrotliwie i serdecznie, że mu odpowiedziałam, iż pójdę do ciebie, tatku, i rozmówię się z tobą. A ponieważ mi dziś rano niespodzianie zapłacono za robotę, a ty przez cały tydzień miałeś pożywienie bardzo skąpe, a chciałam, by dzisiejszy dzień stał się potroszę świętem dla ciebie, dla mnie zaś dniem szczęśliwym, więc zrobiłam małą ucztę, kochany tatku, i przyniosłam ją, by ci zrobić niespodziankę.

— I patrz, jak on pozwala jej stygnąć na schodach! — odezwał się inny głos.

Był to głos Ryszarda, który zbliżył się niepostrzeżenie i nagle stanął przed ojcem i córką z twarzą tak płonąca, jak to rozpalone żelazo, na które co dnia spadał jego ciężki młot. Był to urodziwy, dobrze zbudowany, silny młodzieniec, o oczach, które błyszczały jak płonące iskry, wystrzelające z pieca, z czarnymi włosami, układającymi się wspaniale dokoła śniadych skroni, i z uśmiechem, który usprawiedliwiał pochwalne słowa Małgosi o jego sposobie mówienia.

— Patrz, jak on pozwala wszystkiemu stygnąć na schodach! — rzekł Ryszard. — Małgosia nie wie, co ojciec lubi. Naprawdę, że nie wiel

Trotty, rozpromieniony, natychmiast podał Ryszardowi rękę i chciał mu z wielkim zapałem coś odpowiedzieć, gdy niespodzianie otworzyły się drzwi domu, a wychodzący z nich służący omal nie wdepnął w miskę z flakami.

— Usuniecie się z drogi! Zawsze musicie tu siałć na naszych schodach! Nie możecie pójść raz do naszych sąsiadów, albo gdzie! No, z drogi! Usuniecie się, czy nie?

Ściśle biorąc, to ostatnie pytanie było zbyteczne, bo już się usunęli.

— Co to jest? Co się dzieje? — zapytał pan, przed którym otworzono właśnie drzwi, gdy krokiem na wpeł ocieżałym, dziwnie łączącym w sobie szybki chód i powolny pośpiech, wyszedł z domu — owym krokiem, jakim mężczyzna, schodzący już z góry żywota, noszący skrzypiące obuwie, łańcuszek przy zegarku i czystą bieliznę, nie tylko nie ubliżając własnej godności, lecz nadając sobie nawet pozór, że czekają go korzystne i zyskowe inte-



resy, zwykł był wychodzić z domu. — Co to jest? Co się dzieje?

— Zawsze trzeba was na kolanach prosić i błagać, — z wielkim zapałem zwrócił się służący do Toba Becka, — byście naszym schodom dali pokój. Czemu tu wciąż przychodzicie? Nie możecie trzymać się z dala?

— No, dosyć już, dosyć! — odezwał się gentleman. — Hej, człowieku! — i głową skinął na Toba Becka. — Zbliźcie się. Co tam macie? To wasz obiad?

— Tak, proszę pana, — odparł Trotty, zostawiając w kącie swą strawę.

— Nie zostawiajcie tam jedzenia! — zawołał gentleman. — Przynieście mi je tutaj. Tak! Czy to wasz obiad?

— Tak, proszę pana, — odrzekł Trotty, z napływającą do ust ślinką wpatrując się w kawał flaka, który odłożył sobie jako ostatni najlepszy kąsek, a który gentleman przewracał teraz i odwracał z jednej strony na drugą.

Inni dwaj gentlemeni wyszli teraz za pierwszym. Jeden z nich, był to jegomość w średnim wieku, przygnębiony, mizernie ubrany i z niezadowoloną miną. Stale trzymał ręce w kieszeniach swych ciasnych spodni, nieokreślonego koloru soli i pieprzu, wskutek czego były one mocno rozepchane — niezbyt też starannie był umyty i uczesany. Drugi gentleman miał na sobie błękitny frak z błyszczącymi guzikami i biały krawat. Twarz miał bardzo czerwoną, jak gdyby za wiele krwi z jego ciała dopływało do głowy, co może było powodem, że zdawało się, iż ma serce dość zimne.

Ten, który widelcem przewracał na wszystkie strony obiad Toba, przywołał pierwszego, którego nazywał Filerem, i obaj nachyliłi się nad miską. Ponieważ Filer był krótkowidzem, więc musiał się pochylić tak nisko, by poznać, jaka to potrawa, że Tobowi serce zamarło w piersi. Ale Filer nie tknął jego jedzenia.

— Jest to pewnego rodzaju zwierzęcy artykuł jadalny, panię aldermanie, — objaśniał Filer, ołówkiem nakłuwając resztki stawy, — znany robotniczej klasie tego kraju pod nazwą flaków.

Alderman zaśmiał się i mrugnął okiem, gdyż pan alderman Cute był żartowniś nielada. A przy tym szczywany lis, który wszystko wiedział, wszystkiego doświadczał i nie dawał się wyprowadzić w pole. On zgłębił serce ludu! Jeśli kto je znał, to na pewno on.

— Ale kto to jada flaki? — mówił dalej Filer, rozglądając się dokoła. — Flaki są najmniej ekonomicznym, najkosztowniejszym artykułem spożywczym, jaki kraj ten może wyprodukować. Dokładne badania wykazały, że funt flaków w gotowaniu traci siedm ósmych swej wagi, czyli o jedną piątą więcej od wszelkiej innej substancji zwierzęcej. We właściwym znaczeniu tego słowa flaki są droższe od ananasa, hodowanego w cieplarniach. Jeśli się weźmie pod uwagę liczbę bydła co roku zarzynanego w obrębie samego tylko miasta, to obliczając choćby najniżej ilość flaków z tych zwierząt, o ile się je zabija w odpowiednim czasie, przekonujemy się jednak, że tym, co się traci na wadze flaków przez ich gotowanie, możnaby żywić garnizon z pięciuset ludzi przez całe pięć miesięcy, liczących po trzy-

dzieści jeden dni i jeszcze przez luty. Ach, ta rozrzutność, ta rozrzutność!

Trotty stał z otwartymi ustami, a kolana zatrzęsły się pod nim. Wyglądał tak, jakby na własną rękę wygłodził był garnizon, liczący pięciuset ludzi.

— Kto jada flaki? — ciepło zapytał Filer. — Kto jada flaki?

Trotty skłonił się niezdarnie.

— Wy? Wy? — pytał Filer. — A więc powiem wam coś, przyjacielu. Flaki te odejmujecie od ust wdowom i sierotom.

— Niech Bóg uchował! — słabym głosem rzekł Trotty. — Wolałbym umrzeć z głodu!

— Podzielcie podaną wpierv ilość flaków, — mówił dalej Filer, — przez liczbę wdów i sierot, a na każdą z nich przypadnie łucik flaków. Dla was nie zostanie ani jednego grama. A więc jesteście rabusiem.

Trotty był tak wzburzony, że go to wcale nie obeszło, gdy alderman sam spożył kawałek flaka. Ulżyło mu nawet na sercu, że się go pozbył.

— A co pan powie? — żartobliwie zwrócił się alderman do człowieka o czerwonej twarzy i w błękitnym fraku. — Już słyszał pan opinię naszego przyjaciela, Filera. Co pan teraz powie?

— Co mogę powiedzieć? — odparł zagadnięty. — Co można powiedzieć? Kto w dzisiejszych zwyczajach, zajmowałby się podobnym stworzeniem? — i gestem wskazał Toba. — Spójrz pan na niego! Co to za istota! Och, gdzie się podziały dobre stare czasy, piękne stare czasy, wielkie stare czasy! Wtedy można było wychować silny stan chłopski. Wtedy można było podjąć się wszystkiego.

Dziś nic się nie da zrobić. Ach! — westchnął pan z czerwoną twarzą, — te dobre stare czasy, dobre stare czasy!

Nie wyjaśnił, o jakich czasach myślał i nie powiedział też, czy dzisiejszym czyni zarzut, kierowany niesamolubną świadomością, że nie uczyniły prawdziwie nic godnego uwagi, wydając jego osobę.

— Dobre stare czasy, dobre stare czasy! — powtórzył. — Co to były za czasy! Jedyne czasy! Nie warto wprost mówić o innych czasach, ani sprzeczać się o to, jaki lud mamy teraz. Chyba pan ęrażniej-szości nie nazwie c z a s a m i. Ja jej tak nazywać nie mogę. Zajrzyj pan, proszę, do K o s t i u m ó w Strutta a zobaczy pan, czym taki postaniec uliczny był za któregośkolwiek z tych dobrych dawnych rządów angielskich.

— W najlepszych czasach nie miał na grzbiecie koszuli ani pończoch na nogach, a w całej Anglii nie rosła ani jedna roślina, któraby była przeznaczona dla jego żołądka, — wtrącił Filer. — Mogę to udowodnić tabelami.

A pan z czerwoną twarzą wciąż jeszcze sławił stare dobre czasy, wielkie stare czasy, wspaniałe stare czasy. Można było mówić, co kto chciał; on swym wyuczonym frazesem wciąż się kręcił koło tego samego jak wiewiórka w ruchomej klatce, o której zmyślnym mechanizmie ma takie same pojęcie, jakie pan z czerwoną twarzą miał o swym minionym tysiącletnim państwie.

Być może, że wiara Toba w te bardzo nieokreślone stare czasy nie całkiem była niszczona, gdyż w tej chwili uczuł dziwne jakieś wątpliwości. — Ale w swym nieścieściu jedno wiedział jasno: jak-

kolwiek każdy z tych panów z osobna inne miał przekonania, to jednak jego wątpliwości, jakie miał dzisiejszego ranka i innych dni, były aż nazbyt uzasadnione. — Tak, tak, nie umiemy znaleźć należytej drogi, czy też postępować jak należy, — myślał pełen rozpaczy. — Nie ma w nas nic dobrego. Jesteśmy źli z natury!

Trotty miał jednak w swej piersi serce ojcowskie, które mimo tej predystynacji w jakiś sposób tam się zabłąkało; nie mógł więc znieść, by Małgosia, w okresie rozkwitu swej krótkiej szczęśliwości, miała z ust tych mądrych panów usłyszeć przepowiednie swego losu. — Boże, bądź jej miłościw, — myślał biedny Trotty; — dowie się o tym jeszcze dość wcześniej.

Czym prędzej więc dał młodemu kowalowi znak, by ją stąd zabrał, tamten był jednak tak zatopiony w czulej rozmowie z Małgosią, że stojąc w pewnym oddaleniu spostrzegł znak Toba dopiero wtedy, gdy go zauważył także Cute. Nie wyładowawszy jeszcze swej mądrości, jak tego pragnął, gdyż alderman był filozofem, mianowicie filozofem praktycznym, — o, i jak praktycznym! — nie chciał utracić żadnego ze słuchaczy, krzyknął więc: — stój!

— Wiecie przecież — zwrócił się alderman do swych dwóch przyjaciół z uśmiechem zadowolenia, stale goszczącym na jego twarzy, — wiecie, że jestem człowiek prosty i praktyczny i że prostą praktyczną drogą zwykłym zmierzać do celu. Tak też postępuję. Otóż postępowanie z ludźmi tego rodzaju nie jest ani sztuką ani tajemnicą, jeśli się ich tylko rozumie i umie z nimi rozmawiać na ich sposób. Hej, człowieku, słuchajcie! Nie powiecie mi przecież, że

nie macie podostatkiem jedzenia i to najlepszego, bo ja dobrze wiem, jak rzeczy stoją. Skosztowałem waszych flaków, więc nie weźmiecie mnie na kawał. Rozumiecie, co to znaczy „brać na kawał”. Prawda, że tak się mówi? Ha, ha, ha! — zaśmiał się alderman, zwracając się znów do swych przyjaciół, — nic łatwiejszego, — jak porozumieć się z tymi ludźmi, gdy się tylko umie do tego zabrać.

Niezrównany był to człowiek, gdy chodziło o porozumienie się z ludźmi, ów alderman Cutel Zawsze w dobrym humorze! Taki przystępny, rozmowny, żartobliwy gentleman, znający biednych ludzi!

— Widzicie, przyjaciele, — mówił dalej alderman, — tyle się mówi głupstw o biedzie i o „złych czasach”; tak brzmi ten frazes, prawda? Ha, ha, ha! Ja ten frazes wytepię. Poza tym, okropnie rozpowiciał — nic łatwiejszego, — jak porozumieć się z tymi i to wytepię. Bo wiercie mi, — znów się zwrócił do swych przyjaciół, — u tych ludzi da się wszystko wytepić, gdy się tylko ktoś umie do tego zabrać.

Trotty zbliżył się do Małgosi i wziął ją za rękę;

— Wasza córka, co? — zapytał alderman, poufale ujmując ją pod brode.

Zawsze był przystępny dla klasy robotniczej, ten nieoceniony pan alderman Cutel! On wiedział, co się tym ludziom podobał! Ani w nim cienia dumy!

— Gdzie jej matka? — zapytał czcigodny gentleman.

— Nie żyje, — odparł Toby. — Matka jej była praczką i powołana została do nieba, gdy córka przysłała na świat.

— Ale chyba nie poto ją powołano, by tam prała bieliznę? — żartobliwie zauważył alderman.

Niewiadomo, czy Toby potrafiłby czy nie potrafiłby wyobrazić sobie swej żony w niebie bez dawnego jej zajęcia; my jednak zapytamy: Gdyby pani aldermanowa Cute umarła, czy pan alderman Cute potrafiłby wyobrazić ją sobie, pełniącą w niebie jakieś czynności?

— A wy się zapewne do niej umizgacie, ha? — zwrócił się Cute do młodego kowala.

— Tak, — szybko odparł Ryszard, gdyż rozgniewało go to pytanie, — a na Nowy Rok się pobierzemy.

— Co mówicie? — szorstko wtrącił Filer. — Pobierzecie się? ✓

— No tak, mamy ten zamiar, — odparł Ryszard. — I śpieszno nam, bo nużby jeszcze i to wytepionol!

— Ach! — westchnął Filer — panie aldermanie, niech pan i to wytepi, a spełni pan naprawdę dobry czyn. Żenić się, żenić! Nieznajomość podstawowych zasad ekonomii politycznej u tych ludzi, ich nieostrożność, ich zepsucie wystarczają dalebóg, by... Spójrz pan, proszę na tę parę!

Doprawdy, warto było spojrzeć na tych dwoje! Małżeństwo było najrozsądniejszym, najuczciwszym zamiarem, jaki w ogóle mogli byli powziąć.

— Chociażby człowiek dożył wieku Metuzalema, — rzekł Filer, — i męczył się przez całe życie, piętrząc całe góry faktów na cyfrach, cyfrach i jeszcze raz cyfrach, to jeszcze nie mógłby się ludzić, że zdoła ich przekonać, iż nie mają prawa ani powodu pobierać się, tak samo jak nie mógłby się spodziewać, że ich przekona, iż nie mieli prawa ani

powodu przyjąć na świat. A my przecież wiemy, że nie mają do tego prawa ani powodu. Dawno doszliśmy do tej matematycznej wprost pewności.

Alderman Cute bawił się znakomicie; przyłożywszy do nosa wskazujący palec prawej ręki, jakby obydwom swym przyjacielom chciał powiedzieć: — A teraz uważajcie, co ja powiem! Przekonajcie się, jak postępuje człowiek praktyczny! — przywołał do siebie Małgosię.

— Chodź-no tu bliżej, moje dziecko! — rzekł Alderman Cute.

Młodemu jej wielbicielowi gorąca krew biła do głowy w ciągu ostatnich pięciu minut i nie miał ochoty pozwolić jej podejść. Opanował się jednak, zrobił krok naprzód, gdy Małgosia podeszła do tego gentlemana i stanął obok niej. Trotty wciąż trzymał ją jeszcze pod ramię, patrząc to na nią, to na Ryszarda z takim pomieszaniem, jakby go przed chwilą zbudzono ze snu.

— Moje dziecko, — zaczął alderman w swój uprzejmy i łaskawy sposób, — pragnę ci w paru słowach udzielić dobrej rady. Do mego urzędu należy udzielanie rad, ponieważ jestem sędzią. Przecież wiesz, że jestem sędzią?

Małgosia potwierdziła nieśmiałym skinieniem głowy. Wszystkim przecież wiadomo, że alderman Cute jest sędzią! Wielki Boże, stale przecież był przejęty swoją godnością sędziego! Któż, prócz pana Cute, mógł w oczach publiczności zajmować tak świetne stanowisko!

— Masz zamiar wyjść niebawem zamąż, — mówił dalej alderman. — Bardzo to niewłaściwe i...



nieskromne, wobec tego, że należysz przecież do rodu kobiecego! Ale mniejsza o to! Gdy jednak wyjdiesz zamaż, zaczniesz się kłócić z mężem i będziesz nieszczęśliwa. Myślisz może, że tak nie będzie? Ale będzie tak, skoro ja ci to mówię. Od razu ci też powiem, że postanowiłem wytepić nieszczęśliwe małżeństwa. A więc, nie przychodź do mnie. Potem będziesz miała dzieci — może chłopców. Chłopcy ci otrzymają naturalnie złe wychowanie i będą się włóczyć po ulicach, bez pończoch i butów. Pomyśl, moja droga, że ja ich będę surowo karać, gdyż postanowiłem wytepić chłopców, biegających po ulicy bez pończoch i butów. Być może, a nawet prawdopodobnie, mąż twój umrze za młodu i zostawi cię z dzieckiem. Wtedy wyrzucą cię z mieszkania i będziesz musiała wałęsać się po ulicach. Ale wtedy nie zabłakaj się, moja duszko, w moje sąsiedztwo, gdyż mam nieodwołalny zamiar wytepienia wszystkich bezdomnych matek; mam święte postanowienie wytepić wszystkie młode matki, wszystkie, bez różnicy. I nie usprawiedliwiaj się wtedy przede mną chorobą, albo małymi dziećmi, gdyż ludzi chorych i małe dzieci (znasz zapewne modlitwę kościelną, lecz obawiam się, że jej nie znasz) postanowiłem również wytepić. A gdybyś poważyla się w sposób niewdzięczny, bezbożny, podstępny, rozpaczliwy utopić się, czy powiesić, to wiedz, że nie będę miał nad tobą litości, gdyż wbiłem to sobie do głowy, że wytepię wszelkie samobójstwa. Nie ma nic na świecie, — dodał alderman z uśmiechem zadowolenia z siebie, — czemu oddałbym się z równym zapalem, jak właśnie tępieniu samobójstw. A więc nie czyn cze-

goś podobnego, rozumiesz? Ha, ha, ha, już się rozumiemy, wiem o tym.

Toby natomiast nie wiedział, czy ma się smuć, czy cieszyć, że Małgosia zbladła śmiertelnie i puściła rękę narzeczonego.

— A co się ciebie tyczy, nierozsądny młodzieńcze, — jeszcze weselszym tonem zwrócił się alderman do młodego kowala, — to powiedz, co ty sobie właściwie myślisz, biorąc się do ożenku? Po co chcesz się żenić, ty naiwny chłopcze? Gdybym ja był takim przystojnym, młodym, silnym chłopcem jak ty, to wstydziłbym się trzymać fartuszka! U licha, przecież ona będzie starą babą, gdy ty będziesz w najlepszym męskim wieku! I ładnie będziesz wyglądał, gdy takie babsko i gromada wrzeszczących dzieci czepiać się będą ciebie na każdym kroku!

O, ten nieoceniony alderman Cute wiedział, jak przemawiać do ludzi prostych.

— A teraz zabierajcie się stąd, — rzekł alderman — i żałujcie za grzechy. Nie róbcie z siebie głupców, żeniąc się w Nowy Rok. Zanim nadejdzie następny Nowy Rok, będziecie o tej sprawie myśleć całkiem inaczej. Tak! przystojny, młody chłopiec, za którym z pewnością biegają wszystkie młode dziewczęta! A teraz ruszajcie w swoją drogę.

I ruszyli w swoją drogę, ale nie pod ramię, ani trzymając się za ręce i nie zamieniając wesołych spojrzeń. Ona miała oczy pełne łez, a on szedł posępny i zgnębiony. Byliż to ci sami, na których widok serce Toba przed chwilą dopiero skakało z radości, mimo przejmującego je równocześnie lęku?

Nie, nie! Alderman (niech go Bóg ma w swej opiece) wytepił radość w ich sercach.

— Skoro tu jesteście, — rzekł Alderman do Toba, — to możecie mi odnieść ten list. Czy umiecie biec szybko? Już z was stary człowiek.

Toby, który zmieszonym spojrzeniem odprowadzał swą Małgosię, pośpieszył zapewnić, że jest bardzo silny i biega nadzwyczaj szybko.

— Ileż wy macie lat? — zapytał alderman.

— Przeszło sześćdziesiąt, proszę pana, — odparł Toby.

— O, ten człowiek dawno już przeszedł średni wiek, — przerwał Filer, jakby cierpliwość jego wystawiona na próbę, już się wyczerpała.

— Widzę, że jestem zbędny, — rzekł Toby. — Ach... obawiałem się tego już dziś rano. Wielki Boże!

Alderman przerwał mu wynurzenia, wręczając list, który wyjął z kieszeni. Toby byłby też otrzymał szylinga; ponieważ jednak Filer obliczył, że w takim razie obrabowałby taką a taką liczbę ludzi o taką a taką kwotę, więc otrzymał tylko pół szylinga i jeszcze sobie wieszował szczęścia, że zarobił bodaj tyle.

Następnie alderman ujął pod ramię obydwu swych przyjaciół i odszedł z miną wyniosłą, niebawem jednak wrócił, jakby o czymś był zapomniawszy.

— Słuchajcie, — rzekł alderman.

— Słucham pana, — odparł Toby.

— Uważajcie - no dobrze na córkę. Zbyt jest ładna.

— Nawet swą ładną twarz musiała komuś ukraść, — pomyślał Toby, oglądając pół szylinga

i przypominając sobie flaki. — Chyba okradła z pięćset pań, każdą z osobna, z ich urody. To okropne!

— Zbyt jest ładna, — powtórzył alderman. — Wobec tego stanu rzeczy, nie skończy się to dobrze; już ja to widzę. Zapamiętajcie sobie, co wam mówię. Dobrze nad nią czuwajcie! — To rzekłszy, pobiegł za przyjaciółmi.

— Wszędzie niesprawiedliwość! Wszędzie niesprawiedliwość! — mruczał Toby, załamując ręce. — Zli jesteśmy z natury i nie mamy powodu, by żyć na świecie!

Gdy mówił te słowa, poczęły nań spływać dźwięki dzwonów. Pełne, rozgłośne, dźwięczne, ale nie pocieszające. Nie, wcale nie pocieszające.

— Całkiem inaczej brzmi ta melodia, — rzekł starzec, zasłuchany. — Ani śladu w nich z tych wszystkich rojeń. Bo i skądby? Nowy rok obchodzi mnie równie mało jak stary. Gdybym to już mógł umrzeć!

Wciąż jeszcze rozbrzmiewały dźwięki dzwonów, wywołując potężne fale powietrzne. — Wytepić, wytepić! Stare dobre czasy, stare dobre czasy! Fakty i cyfry, fakty i cyfry! Wytepić, wytepić! — Tak mówiły dzwony, o ile w ogóle coś mówiły, a Toby uczuł aż zawrót głowy.

Oszołomioną głowę ujął oburącz, jakby z obawy, by nie pękła. I zrobił to w samą porę, gdyż w jednej z rąk poczuł list, co mu przypomniało, że otrzymał zlecenie. Mechanicznie, jak zwykle, puścił się więc galopem.

## ROZDZIAŁ DRUGI

List, który Toby otrzymał z rąk aldermana Cuite, adresowany był do możnego człowieka w wielkiej dzielnicy miasta. Powinien bym powiedzieć, w największej dzielnicy, gdyż jej mieszkańcy nazywali ją zwykle „światem”.

List ten, zdawało się, ważył więcej w ręce Toba niż każdy inny. Nie dlatego, że alderman zapieczętował go olbrzymią pieczęcią herbową, do czego zużył wielką ilość laku, lecz z powodu wielkiego nazwiska adresata, nasuwającego myśl o mnóstwie, mnóstwie złota i srebra.

— Jak tu inaczej, niż u nas! — w naiwności serca rozmyślał Toby, rozglądając się we wszystkich kierunkach. — Podziel leniwe żółwie, żyjące w obrębie miasta, przez liczbę bogaczy, mogących je kupować, a każdy dostanie swoją część! Ale biednym ludziom flaki odejmować od ust — na to byłoby za dumny!

Powodowany bezwiedną czią dla osoby tak dostójnej, Toby wsunął koniuszek fartucha pomiędzy list a swoje palce.

— Jego dzieci, — mówił do siebie Toby, a oczy mu zaszyły mgłą, — jego córki... Wielcy panowie będą się o nie starać... I wyjdą za mąż, i mogą być

szczęśliwymi żonami i matkami, i mogą być tak ładne, jak Małgo...

Nie mógł wymówić jej imienia. Końcowa zgłoska nabrzmiała mu w gardle do rozmiarów całego alfabetu.

— Dość już, — pomyślał Toby, — wiem dobrze, o co mi chodzi. A to mi wystarcza w zupełności. I z tą pocieszającą myślą podreptał dalej.

Dzień był bardzo mroźny. Powietrze przezroczyście, lecz ostre i przejmujące. Słońce zimowe, niezdolne wprawdzie do ogrzewania, jasno jednak spoglądało na lód, którego nie mogło stopić i rozpałało na nim promienne blaski. Innym razem Trotty byłby z tego zimowego słońca wysnuł naukę dla biedaków, ale dziś był całkowicie niewrażliwy.

Rok doszedł dziś swego sędziwego wieku. Cierpliwy rok od początku do końca znosił był zarzuty i oszczerstwa swych potwarców i rzetelnie spełniał swą pracę. Wiosną, latem, jesienią, zimą. Odbył cały przepisany mu kołobieg, a teraz oto skłaniał znużoną swą głowę, by umrzeć. Sam bez nadziei, bez potężnej podniety, bez własnego szczęścia, a jednak herold wielu radości dla drugich, w starości swej apelował oto do ludzi, by pamiętni jego żmudnych dni i nudnych godzin pozwolili mu umrzeć w spokoju. Trotty mógłby w tym odchodzącym roku widzieć obraz biednego człowieka, ale dziś nie był zdolny do takich rozpamiętywań.

Ulica była niezwykle ożywiona, a wystawy sklepów jaskrawo udekorowane. Nowy rok, niby młody spadkobierca, witany był przez cały świat darami i objawami radości. Wszędzie książki i za-

bawki na Nowy Rok, świecące klejnoty na Nowy Rok, stroje na Nowy Rok, plany wzbogacenia się na Nowy Rok, wszędzie nowe pomysły, jak spędzić go wesoło. Życie jego podzielone było w kalendarzach i notesach. Fazy księżyca, gwiazd i pór roku, z góry zostały określone: wszystkie zmiany dób, dnia i nocy podane były z taką dokładnością, z jaką Filer ujmował w cyfry mężczyzn i kobiety.

Nowy Rok, Nowy Rok, wszędzie Nowy Rok. Stary rok uchodził już za trupa, a jego dobytku pozbywano się tak tanio, jak garderoby utopionego żeglarza. Jego artykuły były już niemodne, więc oddawano je za bezcen, zanim jeszcze właściciel ich wyzionął ducha. Skarby jego były bezwartościowe wobec bogactw niezrodzonego jeszcze następcy.

Trotty w myślach swych nie brał udziału ani w starym, ani w nadchodzącym roku.

— Wytepić, wytepić, fakty i cyfry, fakty i cyfry, stare dobre czasy, stare dobre czasy, wytepić, wytepić! — W takt tej melodii dreptały nogi Toba i nie chciały się dostosować do żadnej innej.

Ale i ta, jakkolwiek ponura, doprowadziła go w sam czas do celu, którym był dom członka parlamentu, pana Josepha Bowleya.

Drzwi otworzył portier. Ale jaki portier! Nie ktoś w rodzaju Toba. Coś zupełnie innego. Choć także służący, to jednak w niczym niepodobny do Toba.

Portier ów odsapnął potężnie, zanim zdołał przemówić. Zadyszał się mocno, gdyż zerwał się ze swego fotelu zbyt szybko, zanim miał czas iad tym czynem zastanowić się i przygotować się do

niego. Odzyskawszy głos — co znów sporą trwał chwilę, gdyż głos jego zapadł się głęboko i spoczywał pod potężną warstwą ciała — rzekł ochryplym szeptem: — Od kogo to?

Toby wyjaśnił.

— W takim razie musicie list zanieść sami, — oświadczył portier, wskazując palcem drzwi pokoju, u końca długiego korytarza. — Dziś wszyscy tam wchodzi. Nie przychodźcie bynajmniej za wcześnie, gdyż powóz czeka już przed domem, a państwo przyjechali tylko na parę godzin do miasta.

Toby wytarł starannie podeszwy, które i tak były całkiem czyste, i ruszył we wskazanym kierunku, dziwiąc się po drodze, że w tym olbrzymim domu, otulonym w dywany, taka panuje cisza, jakby cała rodzina mieszkała na wsi. Gdy zastukał do drzwi, odpowiedziano: „proszę!”, bezpośrednio potem ujrzał się w obszernej bibliotece, gdzie przy stole, zavalonym stosami papierów, siedziała okazała dama w kapeluszu; niezbyt okazały pan, ubrany na czarno, pisał, co mu dyktowała, gdy inny, starszy i znacznie okazalszy gentleman, którego laska i kapelusz leżały na stole, z jedną ręką wsunietą pod surdut, przechadzał się tam i napowrót, z upodobaniem kierując wzrok na swój portret naturalnej wielkości, wiszący nad kominkiem.

— Co to? — spytał przechadzający się gentleman. — Panie Fish, zechce pan być tak dobry i uważać?

Pan Fish poprosił o pobłażliwość, wziął list z rąk Toba i podał go jaśnie panu.

— Od aldermana Cute, sir Joseph.



— To wszystko? Niczego więcej nie macie, człowieku? — zapytał sir Joseph.

Toby dał odpowiedź przeczącą.

— Nie macie dla mnie żadnego rachunku, ani żadnego żądania? Nazywam się Bowley, Joseph Bowley; czy nie macie do mnie czegoś, od kogośkolwiek? Jeśli macie, to musicie zgłosić. Pan Fish ma koło siebie książeczkę czekową, bo żadnych rachunków nie pozwolę prznosić na nowy rok. Wszystko musi być w tym domu załatwione z końcem roku, i gdyby nić mego życia... śmierć...

— Przecięła, — podsunął pan Fish.

— Przeciąć miała, panie Fish, — surowo zapowiedział sir Joseph, — sprawy moje, mam nadzieję, byłyby w najlepszym porządku.

— Ach, mój drogi sir Joseph! — wtrąciła dama, znacznie od niego młodsza. — Jakże mnie przestraszasz!

— Mylady Bowley, — odparł sir Joseph, od czasu do czasu tonący niejako w głębi swych słów, — w tym dniu powinniśmy myśleć... o sobie. Powinniśmy porządkować nasze rachunki. Powinniśmy czuć, że każdy nawrót tak ważnego momentu w ludzkich sprawach nasuwa myśl o najdonioślejszych sprawach pomiędzy człowiekiem a... jego bankierem.

Sir Joseph wypowiedział te słowa z takim namaszczeniem, jakby głęboko przejęty był ich moralnym znaczeniem; pragnął też, by nawet Trotty skorzystał ze sposobności i mógł je usłyszeć oraz poprawić się pod ich wpływem. Tym może kierowany, wciąż jeszcze nie rozpieczętował listu i czekał Tobowi, by chwilę zaczął.

— Mylady sobie życzy, by pan Fish — zwrócił się do okazałej damy.

— Zdaje mi się, że pan Fish już to powiedział, — odrzekła małżonka, patrząc na list. — Myślę jednak, sir Joseph, że, mimo wszystko, nie mogę tego pominąć. To tyle kosztuje.

— Co tyle kosztuje? — zapytał sir Joseph.

— Ten zakład dobroczynny. Dotąd mamy dopiero dwa głosy z zapomogą pięciu funtów. To wprost okropne!

— Mylady Bowley, — odparł sir Joseph, — wprawia mnie pani w zdumienie. — Czy rozkosz szlachetnego uczucia mierzy się liczbą głosów, czy prawe sumienie nie ogląda się raczej na liczbę starających się i ich cnotliwość? Czyż nie napawa to najczystszy zadowoleniem, że na pięćdziesięciu ludzi ma się do rozporządzenia dwa głosy.

— Ja tego o sobie powiedzieć nie mogę, — odparła dama. Irytuje mnie to. I nie można też zobowiązać sobie w ten sposób swych znajomych. Oczywiście, pan, jako przyjaciel biednych, inne ma pod tym względem poglądy.

— Tak, jestem przyjacielem biednych, — potwierdził sir Joseph, rzucając spojrzenie na obecnego biedaka. — Można mi z tego czynić zarzut. I czynią mi też z tego zarzut. Ale ja się tym szczycę.

— Niech niebo ma w opiece tak szlachetnego pana, — pomyślał Trotty.

— Pod tym względem, na przykład, nie zgadzam się z panem Cute, — mówił sir Joseph, wciąż jeszcze trzymając w rękę jego list. — Nie zgadzam

się ze stronnictwem Filera, nie zgadzam się z żadnym stronnictwem. Biedak, którego jestem przyjacielem, nie ma z tym wszystkim nic wspólnego, a to wszystko nie ma nic wspólnego z nim. Biedak w mojej dzielnicy należy do mnie. Ani jednostka, ani żadne stowarzyszenie nie ma prawa stawać pomiędzy mną a moim przyjacielem biedakiem. Takie jest moje stanowisko. Ja mówię: — Mój dobry człowieku, chcę z tobą postępować jak ojciec.

Toby przysłuchiwał się temu z wielkim wzruszeniem i czuł się jakoś mniej skrępowany.

— Ze mną i jedynie ze mną masz do czynienia, mój dobry człowieku, — mówił dalej sir Joseph, w roztargnieniu patrząc na Toba, — jedynie i wyłącznie ze mną, i przez całe życie o nic się nie potrzebujesz troszczyć. Nie potrzebujesz sobie zadawać trudu myślenia o czymkolwiek. Ja będę myślał już za ciebie; ja wiem, czego ci potrzeba; ja jestem twym ojcem i stale czuwam nad tobą. Taki jest porządek wszechwiedzącej Opatrzności! Cel twego życia nie na tym polega, byś hulał i birbantował się i szukał rozkoszy w jadle i napoju, niby bezrozumne zwierzę. (Toby ze skrucą przypomniał sobie swoje flaki), lecz na tym, byś sobie uświadomił dostojeństwo pracy. Wyjdź, człowieku, w jasny, wczesny poranek, i... i... pracuj. Żyj oszczędnie i umiarkowanie, w bojaźni bożej, ćwicz się w samozaparciu, rodzinę swą utrzymuj niemal z niczego, podatki płać z regularnością zegara, bądź sumienny w swych interesach (bierz sobie przykład ze mnie. Mego sekretarza, pana Fiśha, zastaniesz przy pełnej kasie), a znajdziesz we mnie zawsze przyjaciela i ojca.

— Śliczne dzieci, sir Joseph! — rzekła małżonka, wstrząsając się. — Reumatycy, kaleki, astmatycy, gorączkujący i cierpiący na wszelkie możliwe choroby.

— Mylady, — uroczyście oświadczył sir Joseph, — ja, mimo wszystko, jestem przyjacielem i ojcem biedaków. Mimo wszystko, będę ich wspomagał. Co kwartał może każdy z tych biedaków przyjść do pana Fisha. Każdego Nowego Roku będę w gronie mych przyjaciół pił ich zdrowie. Raz do roku ja i moi przyjaciele będziemy do nich wygłaszać przemowy płynące z głębi serca. Raz w życiu każdy taki biedak może nawet w obecności całego towarzystwa otrzymać publicznie drobny jakiś dar. A jeśli mimo tych wszystkich podnieć i dostojęństwa pracy, nie zdoła już dłużej utrzymać się przy życiu i spocznie w cichym grobie, wtedy — mylady — tu nozdrza sir Josepha rozdeły się pod wpływem szlachetnego porwy — wtedy mogą pod tymi samymi warunkami być przyjacielem i ojcem jego dzieci.

Toby był głęboko wzruszony.

— O, sir Joseph, ma pan wdzięczną rodzinę! — rzekła jego małżonka.

— Mylady, — odparł majestatycznie sir Joseph, — niewdzięczność jest pierworodnym grzechem tej klasy społecznej. Nie oczekuję też innej podzięki.

— Ach, z natury jesteśmy źli, — pomyślał Toby. — Nic nas nie wzrusza!

— Co leży w mocy człowieka, to robię, — podjął znów sir Joseph. — Spełniam swój obowiązek jako ojciec i przyjaciel biedaków, gdyż staram się kształcić ich duszę, przy każdej sposobności powta-

rzając im tę jedyną naukę etyczną, jaka tej klasie jest potrzebna: jest nią całkowite podporządkowanie się mojej osobie. Oni sami nie potrzebują się zupełnie o siebie troszczyć. Jeśli "li i podstępni ludzie powiedzą im coś innego, a oni, poduszczeni i zniecierpliwieni, zbuntują się przeciw mej władzy, dopuszczając się tym czarnej niewdzięczności — co niewątpliwie nastąpi — to nawet wtedy będę ich ojcem i przyjacielem. Tak już postanowione. Leży to w mej naturze!

— Wypowiedziawszy tę wzniosłą myśl, otworzył list aldermana i przeczytał go.

— Bardzo to z jego strony grzecznie i takownie! — zawołał sir Joseph. — Myladę, alderman jest tak uprzejmy, że przypomina mi, iż miał „niezwykły zaszczyt” — bardzo grzecznie — spotkać mnie w domu naszego wspólnego przyjaciela, bankiera Deadles; otóż jest tak dobry, że zapytuje, czy byłoby mi przyjemnie, gdyby kazał zamknąć Wila Ferna?

— Bardzo przyjemnie! — zdecydowała lady Bowley. — Najgorszy ze wszystkich. Prawdopodobnie popełnił jakiś rabunek?

— No, nie, — odparł sir Joseph, opierając się na treści listu, — nie całkiem. Coś w przybliżeniu, ale nie całkiem. Przybył do Londynu, zdaje się, w celu rozejrzenia się za jakimś zajęciem; (chciał się zapewne poprawić!); w nocy złapano go, gdy spał w szopie, został więc aresztowany a nazajutrz rano stawiono go przed aldermana. Alderman pisze (bardzo słusznie i rozsądnie), że postanowił wytepić podobne rzeczy i oświadcza, że, jeśliby mi to odpo-

wiało, byłby szczęśliwy, gdyby mógł rozpocząć od Wila Ferna.

—W każdym razie należy go ukarać, choćby już dla samego przykładu, — rzekła lady. — Zeszłej zimy, kiedy dla chłopców i mężczyzn wiejskich zaprowadziłam robótki szydelkowe i wyrabianie siatek, gdyż jest to przyjemne zajęcie wieczorne, i podług najnowszego systemu uczyłam ich akompaniamentu do słów:

Pozwól nam, Panie, zbożnie pracować  
I chlebowawcę z serca miłować,  
W naszym zakątku wieść żywot cichy  
I zwalczać wszelkie podszepty pychy.

ten sam Fern — widzę go jeszcze całkiem dokładnie — porwał za kapelusz i rzekł: — Mylady, przepraszam najpokorniej, ale czy ja jestem grzeczną dziewczynką? — Byłam na to przygotowana, bo któżby od tej klasy oczekiwał czegoś innego jak bezczelności i niewdzięczności? Ale to inna sprawa. Proszę jednak skorzystać ze sposobności i dla odstraszającego przykładu wymierzyć mu należną karę.

— Hm! — odchrząknął sir Joseph. — Panie Fish, bądź pan tak dobry...

Pan Fish od razu ujął pióro i pod dyktando sir Josepha pisał:

— Drogi Paniel

— Jestem Panu wielce zobowiązany za Pańskie uprzejme zapytanie w sprawie Wila Ferna, o którym, ku memu wielkiemu ubolewaniu, nie mogę powiedzieć nic korzystnego. Uważałem się zawsze za jego ojca i przyjaciela, niestety jednak (jak zaw-

szel) za moje dobre chęci odpłacano mi niewdzięcznością i oporem. Jest to osobnik niespokojny i knąbrny. Charakter jego nie wytrzymuje krytyki. Nic go nie zdoła skierować na drogę szczęścia, jakkolwiek mógłby być szczęśliwy. W tych warunkach, wyznaję, że o ile znów przed panem stanie (a pisze mi pan, że przyrzekł stawić się jutro, i sądzę, że można ufać jego słowu), uwięzienie go na pewien czas za włóczęgostwo byłoby usługą oddaną społeczeństwu i stałoby się zbawiennym przykładem w kraju, gdzie zarówno dla tych, co nie zważając na dobre czy złe słowa, są jednak ojcami i przyjaciółmi biedaków, jak i ze względu na te, ogólnie mówiąc, obałamuczone klasy społeczne, przykłady tego rodzaju bardzo są pożądane.

Pozostaję etc. etc.

— Zdaje się, — zauważył sir Joseph, podpisawszy list, który pan Fish zaraz zapieczętował, — że to wszystko było z góry przeznaczone. Z końcem roku zamýkam wszystkie rachunki, nawet z Wilem Fernem.

Trotty, który już od dość długiej chwili znów popadł w przygnębienie, podszedł z miną bolesną, by wziąć list.

— Proszę powiedzieć, że dziękuję i zasýlam ukłony! — rzekł sir Joseph. — Aha, zaczekajcie jeszcze!

— Zaczekajcie! — odezwało się echo w postaci pana Fisha.

— Sýszeliście może, — zaczął tonem wyroczeni sir Joseph, — sýszeliście może pewne uwagi, które mi nasunął uroczysty moment, do którego się zbli-

żamy, a który nakłada nam obowiązek załatwienia naszych spraw i przygotowania się na wszelki wypadek. Słyszeliście, że się nie zastaniam moim wysokim stanowiskiem społecznym, lecz że pan Fish — ten pan tutaj — ma obok siebie książkę czekową i jest tu poto, by mi umożliwić otwarcie zupełnie nowej karty życia i w nowy okres wstąpić z zupełnie uregulowanymi rachunkami. Otóż, powiedz mi, mój przyjacielu, czy możesz z ręką na sercu powiedzieć, że równie dobrze przygotowałeś się na przyjęcie Nowego Roku?

— Obawiam się, proszę pana, — mamrotał Trotty, patrząc nań pokornie, — że jestem w niepełnym porządku ze światem.

— W niepełnym porządku ze światem! — powtórzył sir Joseph Bowley druzgocącym tonem.

— Obawiam się, proszę pana, — jękał się Trotty, — że pani Chickenstalker jestem jeszcze dłużny dziesięć do dwunastu szylingów.

— Pani Chickenstalker! — w ten sam sposób powtórzył sir Joseph.

— Ona ma sklepik, proszę pana, — objaśnił Toby. — A trochę mam jeszcze dopłacić do czynszu. Bardzo mało. Nie powinniśmy mieć żadnych długów, wiem o tym, ale bieda nas do tego zmusiła!

Sir Joseph dwa razy kolejno powiódł wzrokiem po swej małżonce, panu Fishu i Tobie, następnie wykonał obiema rękami gest rozpaczony, mający wyrażać, że stracił już wszelką nadzieję.

— Jak może człowiek z tej klasy lekkomyślnej i odpornej, człowiek stary, człowiek siwowłosa, spojrzeć w oczy Nowego Roku, mając sprawy tak zamieszane? Jak może położyć się wieczór do łóżka



i znów wstać rano, gdy... Nie! — dokończył, odwracając się plecami do Toba. — Zabierzcie list, zabierzcie list, i z Bogiem!

— Pragnąłbym z całego serca, by było inaczej, — rzekł Trotty, pragnąc się usprawiedliwić, — ale mieliśmy bardzo ciężkie czasy.

Sir Joseph powtórzył tylko: — Zabierzcie list, zabierzcie list! — a pan Fish nie tylko powtórzył jego rozkaz, lecz poparł to jeszcze czynnie, wypychając za drzwi posłańca, który skłonił się co spieszniej i wyszedł. Znalazłszy się na ulicy, biedny Trotty nasunął głęboko swój stary, zniszczony kapelusz, by ukryć bodaj część malującego się na jego twarzy przygnębienia, że nie otrzymał żadnego udziału w nadchodzącym Nowym Roku.

Nie zdjął nawet kapelusza, by podnieść oczy ku dzwonnicy, gdy wrócił pod stary kościół. Z przyzwyczajenia zatrzymał się na chwilę; wiedział, że się ściemniło a dzwonnica niewyraźną, zatartą sylwetą wznosi się nad nim w posepnym mroku. Wiedział też, że zaraz zaczną bić dzwony i że w takiej chwili brzmiały one w jego fantazji, jak głosy dochodzące z chmur. Ale dlatego właśnie spieszył się tym bardziej z odniesieniem listu do aldermana, by tylko umknąć głosom dzwonów. Bo obawiał się, że do poprzedniej melodii dodadzą teraz jeszcze: — przyjaciel i ojciec, przyjaciel i ojciec.

Toby z największym pośpiechem wykonał zlecenie poczem pocwałował do domu. Ale czy to wskutek swego chodu, niezbyt zgrabnego, czy to z przyczyny nasuniętego na oczy kapelusza, potracił niebawem jakiegoś przechodnia i z chodnika stoczył się na drogę.

— Przepraszam bardzo! — rzekł, w najwyższym pomieszeniu zrywając z głowy kapelusz, którego obdarta podszywka opasała mu tak głowę, że głowa tkwiła w niej jak w koszyczku. — Mam nadzieję, że was nie potłukłem.

Co się tyczy potłuczenia, to Toby nie był znów Samsonem, i raczej on sam mógł być potłuczony, bo w rzeczy samej stoczył się z chodnika jak piłka; miał jednak takie wyobrażenie o swej sile, że naprawdę był zaniepokojony i raz jeszcze powiedział: — Mam nadzieję, że nie zrobiłem wam nic złego.

Mężczyzna, którego był potracił, ogorzały, silny wieśniak, o szpakowatych włosach i zaroście, patrzył nań przez chwilę, jakby go podejrzewał o żart. Przekonawszy się jednak, że tamten mówi całkiem poważnie, odparł: — Nie, przyjacielu, nie zrobiłeś mi nic złego.

— Ani dziecku? — zapytał Trotty.

— Ani dziecku, — odparł wieśniak. — Serdecznie wam dziękuję.

Mówiąc to przeniósł wzrok na dziewczynkę, śpiącą mu na rękę, i osłoniwszy jej twarzyczkę końcem wytartego szala, który nosił na szyi, poszedł dalej.

— Ton, jakim powiedział: — Dziękuję wam serdecznie, — wzruszył Toba do głębi. Był taki zmęczony, wyczerpany i brudny od długiego chodzenia, i miał minę człowieka tak opuszczonego i obcego, że pociechą mu było, że mógł komuś dziękować, choćby za tak mało. Toby gonił za nim spojrzeniem, gdy tamten z trudem włókł się dalej ulicą, niosąc dziewczynkę, która go rączką obejmowała za szyję.

Trotty, ślepy na resztę ulicy, utkwił spojrzenie w tej jednej postaci w podartych butach, będących co najwyżej cieniem, czy widmem butów, w kamazkach z ordynarnej skóry, w grubym kaftanie i szerokim kapeluszu, opadającym mu na oczy; po chwili przeniósł to spojrzenie na dziecko, rączką obejmujące szyję mężczyzny.

Nieznajomy, zanim zniknął w mroku, przystanął i rozejrzał się, a dostrzegłszy Toba, zdawał się wahać, czy zawrócić, czy też iść dalej. Zrobił parę kroków naprzód, potem jednak zawrócił; równocześnie jednak Toby zaczął doń podchodzić.

— Czy możecie mi powiedzieć, — odezwał się nieznajomy z bladym uśmiechem, — bo jeśli możecie, to jestem przekonany, że to zrobicie, a wolę was zapytać, niż kogo innego: gdzie mieszka alderman Cute?

— W najbliższym sąsiedztwie, — objaśnił Toby; — z całą chęcią pokażę wam jego dom.

— Miałem się jutro stawić przed nim gdzie indziej, — mówił nieznajomy, idąc obok Toba, — ale podejrzenie tak mi ciąży, że chciałbym się co rychlej oczyścić i pójść szukać zajęcia, chociaż nie wiem, gdzie się już zwrócić. Wybacz mi chyba, że przyjdę o dzień wcześniej i to do jego mieszkania.

— Czyżbyście się nazywali Fern! — wykrzyknął Toby, przystając nagle.

— Jakto? — zapytał tamten, w najwyższym stopniu zdumiony.

— Fern! Wil Fern! — mruknął Trotty.

— Tak się nazywam, — potwierdził tamten.

— W takim razie, — rzekł Trotty, biorąc go za ramię i ostrożnie się rozglądając, — na miłość Boga,

nie cnodzcie do niego! Nie chodźcie do niego! On was każe aresztować, przysięgam! Wejdźcie ze mną w tę uliczkę, a wszystko wam wytłumaczę. Nie chodźcie do niego!

Nowy znajomy patrzył na niego, jakby go uważał za wariata, mimo to jednak poszedł za nim. Znalazłszy się w cichej uliczce, gdzie nie mógł ich nikt podsłuchać, Trotty opowiedział, co mu było wiadome i jakie świadectwo wystawił mu sir Joseph.

Ten, którego dotyczyła cała ta historia, słuchał go ze zdumiewającym spokojem; ani raz mu nie przerwał i nie zaprotestował. Od czasu do czasu kiwał tylko głową, raczej dla potwierdzenia starej, ustalonej już historii, niż celem sprostowania czego; raz czy dwa razy odsunął tylko kapelusz z czoła i piegowatą ręką przeciągnął po czole, na którym każda skiba ziemi, zorana przez niego, zaznaczyła się głęboką bruzdą. Poza tym zachowywał się całym spokojnie.

— Na ogół wystawiono mi świadectwo prawdziwe, — rzekł. — Mógłbym tu i ówdzie oddzielić plewę od ziarna, ale niech i tak będzie. Cóż tam jeszcze powiedziano? Na moje nieszczęście, przeciwdziałiałem jego planom; trudno! Jutro postąpiłbym tak samo. Co się tyczy charakteru, to ci wielcy państwo wężą wszędzie, szukają i szpiegują, i woleli by mieć w nas wzór doskonałości, niż obdarzyć nas bodaj jednym dobrym słówkiem. Przypuszczam, że oni nie tak łatwo tracą dobrą sławę jak my; chyba że prowadzą życie kamedułów, niewarte zachodu. Co do mnie, przyjacielu, to nigdy nie brałem tą ręką, — wyciągnął ją przed siebie,

— co do mnie nie należało i nigdy jej nie cofałem od roboty, chociażby była niewiedomo jak ciężka i źle płatna. Kto temu zaprzeczy, może mi ją odciąć! Skoro jednak praca ta nie żywi mnie jak człowieka; skoro żyję tak marnie, że muszę głodować w domu i poza domem; skoro widzę, że całe życie robotnika tak samo się zaczyna i kończy, bez zmiany i bez widoków polepszenia, tedy mówię do tych wszystkich wielkich panów: Pozostawcie mnie w spokoju, nie przekraczajcie progę mej chałupy! Drzwi jej są dość ciemne, nie potrzebujecie więc zaciemniać ich jeszcze bardziej. Nie spodziewajcie się też, że przyjdę do parku i wezmę udział w komedii święcenia czyichś urodzin, albo gdy się wam chce wygłaszać piękne mowy, czy robić coś podobnego. Urządzajcie sobie swe zabawy i polowania beze mnie i radujcie się do woli, ale nie mamy z sobą nic wspólnego. Pozostawcie mnie więc w spokoju!

Spostrzegłszy, że dziewczynka, śpiąca w jego ramionach, otworzyła oczy i rozgląda się ze zdumieniem, przerwał i, szepnąwszy jej parę pieszczotliwych słów, postawił ją obok siebie na chodniku. Następnie, obwijając jeden z jej długich warkoczyków dokoła swego szorstkiego palca wskazującego, gdy mała uczepliła się jego zakurzonych spodni, rzekł do Toba: — Z natury nie jestem napastliwy i łatwo mnie zadowolić. Do nikogo też nie czuję żalu, a tylko pragnę żyć jak boskie stworzenie. Nie mogę tak żyć i nie żyję, a to stworzyło przepaść między mną, a tymi, którzy tak żyć mogą i żyją. Oprócz mnie jest wielu takich samych, setki i tysiące.

Trotty wiedział, że tamten mówi prawdę i potakiwał ruchem głowy.

— W ten sposób zdobyłem sobie złą opinię, — mówił dalej Fern, — i obawiam się, że jej sobie już nie poprawię. Człowiek nie powinien być posepny, a ja jestem posepny — chociaż Bóg to wie, że pragnąłbym raczej być pogodny, gdybym tylko mógł. Nie wiem, czy ten alderman zbyt by mi zaszkodził, gdyby mnie kazał zamknąć, a ponieważ nie mam nikogo, ktoby się za mną wstawił, więc prawdopodobnie zrobiliby to; a widzicie... — Palcem wskazał dziecko.

— Ładną ma buzię, — rzekł Trotty.

— O tak, — potwierdził Fern, przy czym delikatnie ujął ją obiema rękoma i zwróciwszy ku sobie, bacznie się jej przyglądał. — Nieraz tak myślałem. Nieraz tak myślałem, gdy ognisko moje było zimne, a spiżarnia zupełnie pusta. Tak też myślałem niedawno, gdy nas ujęto jak dwoje złodziejów. Ale ona... tego maleństwa nie powinni tak często niepokoić. Prawda, Lilly? Tak już człowieka dręczyć nie powinni!

Coraz bardziej zniżał głos, a przyglądał się małej tak jakoś dziwnie i tkliwie, że Toby, chcąc myślom jego inny nadać kierunek, zapytał, czy żyje jeszcze jego żona.

— Nigdy nie miałem żony, — odparł tamten, potrząsając głową; — to córka mojego brata, sierota. Ma już dziewięć lat, choć na to nie wygląda, ale teraz jest bardzo zmęczona i wyczerpana. Chcieli ją zabrać do Związku, dwadzieścia osiem mil od naszej wsi, i zamknąć w czterech ścianach,

jak to zrobili z moim starym ojcem, kiedy już nie mógł pracować; ale na szczęście ciążył im niedługo. A więc wziąłem ją do siebie i odtąd żyje przy mnie. Matka jej miała tu krewniaczkę, w Londynie. Staramy się ją odszukać, ale zbyt wielkie to miasto. Nie szkodzi: mamy zato dość miejsca, by się przechadzać. Prawda, Lilly?

Spojrzał dziecku w oczy z uśmiechem, który Toba wzruszył bardziej od łez. Toba uścisnął rękę Ferna.

— Nie wiem nawet jak się nazywacie, — mówił Fern, — a jednak otworzyłem przed wami moje serce, gdyż jestem wam wdzięczny i mam do tego powód. Posłucham waszej rady i będę się strzec tego...

— Sędziego, — dokończył Toba.

— Ach! — rzekł Fern, — skoro go tak nazywają, to niechże będzie sędzią. A jutro spróbuję lepszego szczęścia, gdzieś w okolicy Londynu. Dobranoc! Szczęśliwego Nowego Roku!

— Poczekajcie! — zawołał Toba, chwytając go za rękę; — poczekajcie! Nowy Rok nie przyniósłby mi szczęścia, gdybyśmy się w ten sposób rozstali. Nowy Rok nie przyniósłby mi szczęścia, gdybym pozwolił wam błąkać się z dzieckiem po nocy. Nie znacie przecież miasta i nie macie noclegu. Chodźcie więc ze mną! Jestem biedny i ubogie mam mieszkanie, ale mogę wam udzielić noclegu bez szkody dla siebie. Chodźcie do mnie! Tak! Małą ja poniosę, — rzekł Trotty, biorąc dziewczynkę na rękę. — Małeństwo kochane! Mógłbym nieść ciężar dwadzieścia razy większy i nie czułbym go nawet. Powiedzcie, czy może idę za szybko. Bo przyzw-

czajony jestem do szybkiego chodu. Zawsze tak biegam. — Tak mówił Trotty, wykonywując sześć drobnych kroków, gdy znużony jego towarzysz nadązał mu jednym krokiem, a cienkie nogi posłańca dygotały pod ciężarem dziecka.

— Jaka ona lekka. Lekka jak piórko. Lżejsza od pawiego pióra — znacznie lżejsza. Tu jesteśmy i tu idziemy! Pierwszy zakręt, na prawo, wujaszku Wilu, a potem koło studni i na lewo ulicą, aż do szynku. Tu jesteśmy i tu idziemy! Teraz skreć, wujaszku Wilu, koło pasztecjarni. A teraz koło maształarni, wujaszku Wilu i zatrzymać się przed czarnymi drzwiami, nad którymi wisi szyld: „T. Beck, posłańiec uliczny”. Tu jesteśmy i tu, Małgosiu, przyszliliśmy, we własnej osobie, by ci zrobić niespodziankę.

To mówiąc, Trotty, zupełnie zadyszany, postawił dziecko koło córki. Dziewczynka spojrzała Małgosi w twarz, a poczuwszy do niej zaufanie, gdyż była bardzo pociągająca, od razu rzuciła się młodej gospodyni na szyję.

— Tu jesteśmy i tu zostaniemy! — mówił Trotty, biegając po izbie i dysząc ciężko. — Wujaszku Wilu, oto ogień, widzicie? Czemu nie zbliżycie się do ognia? O, tu już jesteśmy i tu zostaniemy! Małgosiu, serce drogie, gdzie kociołek do herbaty? Już jest i zaraz będzie kipiał!

Trotty naprawdę podczas swych wędrówek zdobył gdzieś kociołek do herbaty a teraz stawił go już na ogniu, gdy Małgosią, usadowiwszy dziewczynkę w ciepłym kącie, ukłękła na podłodze i ścignąwszy jej buciężta, wycierała chustką mokre nóżki. Równocześnie uśmiechała się do ojca tak pogod-



nie, tak wesoło, że Trotty byłby jej od razu błogosławił, gdyż klęczała pochylona, bo widział przecież, że w chwili, gdy weszli, siedziała przed ogniskiem i płakała.

— Tatku, — rzekła Małgosia, — dzisiaj jesteś coś bardzo wesół. Radabym wiedzieć, co na to powiedzą dzwony? Biedne małe nóżeta, jakież one zimne!

— Już są cieplejsze, — zawołało dziecko, — już całkiem ciepłe.

— Nie, nie, nie, — zaprzeczyła Małgosia, — trzeba je jeszcze mocno wytrzeć. O, mamy dużo, bardzo dużo do roboty! A gdy nóżki obeschną, uczeszymy mokre włoski, a potem musimy świeżą wodą obmyć tę bladziutką buzię, żeby się zarumieniła, a potem będziemy się cieszyć i bawić i będzie nam dobrze.

Dziecko zalało się łzami, rączkami objęło ją za szyję i gładziło jej piękną twarz, szepcząc: — Małgosia, kochana Małgosia!

Nawet błogosławieństwo Toba nie znaczyłoby tyle. Bo cóż może znaczyć tyle co serdeczna pieśczęta dziecka!

— Tatku! — odezwała się po chwili Małgosia.

— Tu jestem i tu idę, moje serce! — odparł Trotty.

— Święty Panie, — zawołała Małgosia, — jemu się w głowie pomieszało! Czepkiem tej drogiej dziewczyny przykrył kociołek, a pokrywkę powiesił za drzwiami!

— Nie chciałem tego zrobić, — rzekł Toby, spieszenie naprawiając pomyłkę. — Małgosiu?

Małgosia podniosła nań wzrok i zobaczyła, że umyślnie stanął za krzesłem gościa, a dając jej tajemnicze znaki, pokazywał pół szylinga, zarobione-go u aldermana.

— Wchodząc tu, — rzekł Trotty, — widziałem że na schodach leżało odrobinę herbaty, a jeśli się nie mylę, to także kawałek słoniny. Nie przypominam sobie dokładnie, gdzie to było, więc pójdę sam poszukać.

Z tym kłamstwem, które uważał za nieodgadnione, Toby wyszedł do sklepiku pani Chickenstalker i kupiwszy za gotówkę kawałek słoniny, wrócił po chwili, twierdząc, że nie mógł tak szybko znaleźć w ciemności małego pakieciku.

— Ale wreszcie go znalazłem, — rzekł Trotty, kładąc na stole pakiecik, — Teraz wszystko w porządku. Dobrze jednak wiedziałem, że była herbata i kawałek słoniny. Małgosiu, serce moje, jeśli ty zechcesz przyrządzić herbatę, gdy twój niegodny ojciec uskwarzy tymczasem słoninę, to w jednej chwili będzie wszystko gotowe. To dość dziwne, — mówił Trotty, z widelcem w rękę zabierając się do gotowania, — ale moi bliżsi przyjaciele doskonale o tym wiedzą, że nie lubię ani słoniny, ani herbaty. Cieszę się, gdy smakują innym ludziom, — dodał głośno, by gość go słyszał, — ale ja nie znoszę ani jednego, ani drugiego.

A jednak Trotty z rozkoszą wciągał woń skwarzącej się słoniny, którą jadłby, och! i z jakim smakiem; nalewając wrzącą wodę do czajniczka, miłośnie zaglądał do jego wnętrza, wdychając wonną parę, której kłęby gęstym obłoczkiem zasnuwały mu twarz i głowę. Mimo to nie jadł i nie pił, a tyl-

ko na początku dla formy połknął jeden kęs, który mu widocznie bardzo smakował, mimo zapewnienia, że nie ma coś dziś apetytu. Tobowi chodziło przecież o nakarmienie i napojenie Wila Ferna i Lilly, a tego samego pragnęła Małgosia. I na żadnej uczcie dworskiej, ani przy żadnym bankiecie, nie doznawali gospodarze takiej przyjemności, rącząc swych gości chociażby nimi byli monarchowie lub papież, jak tych dwoje. Małgosia uśmiechała się do Toba, Toby uśmiechał się do Małgosi, Małgosia kiwała głową, a chciała, by Toby rozumiał to jako oklaski na jego cześć; Trotty niemą wymową opowiadał jej długie historie, jak, kiedy i gdzie znalazł swych gości; i oboje byli szczęśliwi. Bardzo szczęśliwi!

— A jednak, — myślał Trotty zasepiony, przyglądając się Małgosi, — narzeczeństwo zostało, jak widzę, zerwane.

— A teraz coś wam powiem, — odezwał się Trotty po herbacie. — Mała będzie zapewne spać z Małgosią.

— Z kochaną Małgosią, — rzekło dziecko pieszczotliwie, — z Małgosią!

— To dobrze, — rzekł Trotty. — I wcalebym się nie dziwił, gdyby malutka dała też buzi ojcu Małgosi. Bo widzisz, ja jestem ojcem Małgosi.

Trotty był niezmiernie uradowany, gdy dziewczynka podeszła doń bojaźliwie, ucałowała go, po czem znów wróciła do Małgosi.

— Mądra jest jak Salomon, — oświadczył Trotty. — Tu idziemy i pójdziemy... nie... nie.. nie pójdziemy. Coś mi się poplątało. Co ja to chciałem powiedzieć, Małgosiu, serce moje?

Małgosia rzuciła okiem na gościa, który siedząc z odwróconą od niej głową na jej krześle, gładził główkę dziecka, na wół ukrytą na jego kolanach.

— Doprawdy, — rzekł Toby, — doprawdy, nie wiem, co się dziś dzieje z mojami myślami; jestem taki roztrzęsiony. Wilu Fern chodźcie teraz ze mną. Jesteście śmiertelnie znużeni i potrzeba wam spoczynku. Chodźcie ze mną!

Mężczyzna wciąż jeszcze gładził włoski dziecka, wciąż jeszcze siedział na krześle Małgosi z odwróconą od gospodarzy twarzą. Nie mówił nic, ale jego szorstkie, grube palce, zagłębiające się raz po raz w kędziorach dziecka, miały swą wymowę.

— Tak, tak, — rzekł Trotty, bezwiednie odpowiadając na to, co wyczytał w twarzy córki. — Zabierz ją Małgosiu i połóż do łóżka. A wam, Wilu, pokażę, gdzie się prześpicie. Nocleg to nie bardzo elegancki, bo zwykły strych z sianem, ale mieszkając w masztalerni ma się przynajmniej tę wygodę, że można się przespać na sianie. A zanim znajdzie się ktoś, kto potrzebuje postój i stajni, my mamy tanie mieszkanie, dużo miękkiego siana na górze, które należy do sąsiada, a jest całkiem czyste, dzięki pracowitym rękóm Małgosi. A więc zwawol! Nie ociągajcie się! Na No. y Rok świeże sianko!

Ręka, która wysunęła się z kędziorów dziecka, z drżeniem opadła na prawicę Toba, który nie przestając paplać, wyprowadził gościa tak delikatnie i ostrożnie, jakby i on był dzieckiem.

Wróciwszy do pokoju wcześniej od Małgosi, przez chwilę nasłuchiwał u drzwi jej izdebki, graniczącej z kuchnią, ecko odmówiło przed spa-

nłem zwykłą modlitwę, a pomodliwszy się za Małgosię urwało, i Trotty usłyszał, że pyta o jego imię.

Minęła spora chwila, zanim śmieszny stary człowieczek odzyskał równowagę; wtedy dopiero rozdmuchał ogień i przysunął sobie krzesło do ciepłego kominka. Uczyniwszy to, otarł knot świecy, wyjął z kieszeni gazetę i zaczął czytać, z początku całkiem spokojnie, przebiegając oczyma wiersz po wierszu, stopniowo jednak z coraz to posepniejszą uwagą i smutnym zamyśleniem.

Albowiem ta lękiem przejmująca gazeta znów odwróciła myśli Toba w kierunku, jaki przybrały były już w ciągu dnia i w jakim się ostatecznie ustaliły pod wpływem całodziennych zdarzeń. Za interesowanie się losem dwojga podróżnych nasunęło mu na chwilę pogodniejsze myśli; gdy jednak pozostał sam i czytał o zbrodniach i gwałtach ludu roboczego, wrócił do poprzednich rozważań.

W tym nastroju czytał notatkę — nie pierwszą zresztą w życiu — o kobiecie, która w przystępie rozpaczny targnęła się nie tylko na własne życie, lecz także na życie własnego dziecka. Ta straszna zbrodnia do tego stopnia wstrząsnęła jego duszą, pełną miłości dla Małgosi, że opuścił gazetę i przeżony opadł wgłąb krzesła.

— Przeciwne naturze i okrutne, — mruzczał Toby, — przeciwne naturze i okrutne! Tylko ludzie źli z natury, źli z urodzenia, nie mający nic do czynienia na tym świecie, mogą się dopuszczać takich czynów! Aż nadto jest prawdą, co dziś słyszałem, prawdą aż nadto często potwierdzaną przez doświadczenie: jesteśmy źli!

Dzwony tak nagle podjęły jego słowa, ozwały się tak głośno, jasno i donośnie, że dźwięki ich uderzyły jak grom w Toby siedzącego na krześle.

I cóż one mówiły?

— Toby Beck, Toby Beck, czekamy cię, Toby! Toby Beck, Toby Beck, czekamy cię, Toby! Chodź, odwiedź nas, chodź, odwiedź nas, przywlec go tu, przywlec go tu, pędź go, dręcz, pędź go, dręcz, nie daj mu spać, nie daj mu spać! Toby Beck, Toby Beck, otwórz drzwi, Toby, Toby Beck!

Po chwilowej przerwie znów rozpoczęły swą dziką, gwałtowną pieśń, a cegły kominka i ściany odbrzmiewały im echem.

Toby nadłuchiwał. Złudzenie, złudzenie! Czy to za to, że po południu opuścił je z niechęcią? Nie, nie. Nic podobnego. Ale oto znów, po raz może dziesiąty: — Pędź go, dręcz, pędź go, dręcz, przywlec go tu, przywlec go tu!

Dźwiękami swymi głużyły całe miasto.

— Małgosiu, — rzekł Trotty cicho, pukając do jej drzwi, — czy coś słyszysz?

— Słyszę dzwony, ojczu; dzwonią dziś naprawdę bardzo głośno.

— Czy ona śpi? — zapytał Toby, szukając usprawiedliwienia, na to, że zaglądnął do izdebki.

— O, i jak spokojnie, jak szczęśliwie! Ale nie mogę jeszcze od niej odejść. Spójrz tylko, jak mocno trzyma mnie za rękę!

— Małgosiu! — szepnął Trotty, — posłuchaj na chwilę głosu dzwonów.

Słuchała, przez cały czas zwrócona do ojca twarzą, ale nic się nie zmieniło w jej wyrazie. Nie rozumiała dzwonów.

Trotty oddalił się, ponownie usiadł przy komin-ku i znów zaczął się wsluchiwać. Ale przez chwilę tylko siedział na krześle.

Dłużej tego znieść nie mógł; siła dzwonów była straszliwa.

— Jeśli drzwi dzwonnicy istotnie są otwarte, — rzekł Toby, odkładając swój fartuszek, zapominając jednak o kapeluszu, — to dlaczegoż nie miałbym tam wejść i sam się przekonać? Jeśli drzwi będą zamknięte, to nie potrzebuję już innego dowodu. To mi wystarczy.

Wymknąwszy się cicho na ulicę, był nieomal pewny, że zestanie drzwi zamknięte i zaryglowane, bo znał je przecież dobrze i tak rzadko widywał je otwarte, że zdarzyło się to może trzy razy. Były to niskie, krągłe drzwi na zewnątrz kościoła, w ciemnym kącie za jedną z kolumn, na tak olbrzymich żelaznych zawiasach i zaopatrzone tak ogromnym zamkiem, że więcej rzucały się w oczy owe zawiasy i zamek, niż same drzwi.

Jakież jednak było jego zdumienie, gdy doszedłszy do kościoła z gołą głową, wyciągnął rękę w ciemny kąt, nie bez trwogi, że ją coś nagle pochwyci, i nie bez tajemnego pragnienia, by mógł ją cofnąć na powrót — i oto przekonał się, że drzwi, otwierające się na zewnątrz, istotnie stoją otworem!

W pierwszym przerażeniu chciał zawrócić, a przynajmniej wziąć ze sobą światło lub jakiegoś towarzysza; natychmiast jednak odzyskał odwagę i postanowił sam wejść na dzwonicę.

— Czegoż miałbym się obawiać? — rzekł do siebie Trotty. — Przecież to kościół! A może dzwonnicy byli na gorze i zapomnieli zamknąć drzwi?

Wszedł tedy i po omacku, jak ślepiec, posuwał się powoli, gdyż było bardzo ciemno i bardzo cicho, ponieważ dzwony teraz milczały.

Kurz uliczny nagromadził się tu obficie i leżał tak grubą warstwą, że Toby szedł jak po aksamicie, co jeszcze potęgowało uczucie grozy. Wąskie schody były tak blisko drzwi, że Toby potknął się o pierwszy schód, przy czym nogą zawadził o drzwi, które zatrzasnęły się tak silnie, że nie mógł ich już otworzyć.

Ale to był jeszcze jeden powód, zmuszający go do posuwania się dalej. Trotty szedł więc dalej po omacku, coraz dalej i dalej, wciąż w kółko i wciąż wyżej i wyżej.

Schody były bardzo nieprzyjemne; tak niskie i wąskie, że wysunięta naprzód ręka wciąż dotykała czegoś, co czyniło wrażenie istoty ludzkiej lub upiora umykającego przed przybyszem. Ręką obmacywał gładką ścianę, szukając twarzy tej istoty, gdy zimny dreszcz przebiegał mu wzdłuż pleców. Raz lub dwa razy, jednostajną powierzchnię muru przerwały drzwi czy nyża, która wydała mu się tak wielka, jak cały kościół; to znów miał wrażenie, że stoi na skraju przepaści, w którą runie głową na dół, aż w końcu znów rękoma wyczuł ścianę.

Coraz dalej i dalej, ciągle w kółko i wciąż wyżej i wyżej!

Wreszcie zatęchłe, ciężkie powietrze odświeżył powiew wiatru, który niebawem zaczął dąć tak silnie, że Toby z trudem tylko zdołał utrzymać się na nogach. Dotarł jednak do jednego z lukowych okien dzwonnicy, sięgającego mu do piersi i, trzymając się oburącz, spojrzął w dół na wierzchołki dachów,



na dymiące kominy, na plamy świetlne i refleksy (w dzielnicy, gdzie przebywała Małgosia, i dziwiła się teraz, gdzie on może być, a może nawet wołała go), stłoczone w jedną masę mgły i ciemności.

Oto izdebka do której przychodzili dzwonnicy. Pochwycił jeden z wytartych od używania sznurów, zwisających przez otwory dębowej powały. W pierwszej chwili przestraszył się, gdyż myślał, że to włosy; następnie zadrżał na myśl, że mogłyby przebudzić wielki dzwon. Dzwony wisiały jednak wyżej. I Trotty, pod wpływem jakiejś opętańczej myśli, czy może czarów szedł po omacku coraz wyżej i wyżej. Na koniec zaczął wchodzić na górę po drabinach, z wielkim trudem, gdyż były strome i nie dawały nogom należytego oparcia.

Coraz dalej wspinał się i wdzierał; coraz dalej i wyżej i wyżej!

Nakoniec, minawszy strych, gdy głową wychylił ponad jedną z belek, znalazł się tuż pod dzwonnami. W mroku nie mógł rozpoznać ich kształtów; były tu jednak: mroczne, niewyraźne, milczące.

Ołowiany ciężar samotności i lęku przytłoczył go nagle, gdy wspinał się ku temu wyniosłemu gniazdu z kamienia i metalu. W głowie mu się kręciło. Nadsłuchiwał, po czym wydał dziki okrzyk: — hej!

— Hej! — przeciągle odpowiedziało smutne echo.

Czując zawrót głowy, zmieszany, bez tchu, pełen przerażenia, Toby rozejrzał się po błękitach nieba i padł zemdlny.

## ROZDZIAŁ TRZECI

Czarne są gromem ciężarne chmury i mętne są wody głębokie, gdy morze myśli, po raz pierwszy podnosząc się po ciszy, wyrzuca swych umarłych. Ohydne, dziwaczne potwory święcą swe przedczesne, niezupełne zmartwychwstanie; pomieszane członki i postacie rozmaitych rzeczy jednoczą się z sobą według zrządzenia przypadku, a jak, kiedy i w jakim następstwie znów się rozłączą, każda zaś treść i forma duszy znów przybierze pierwotny kształt i pocnie żyć na nowo — tego nikt powiedzieć nie może, chociaż każdy z nas, każdego dnia jest naczyniem obrazu tej wielkiej tajemnicy.

Niepodobna więc słowami, a tym mniej dokładnie określić, kiedy i jak mrok nocnej dzwonnicy zmienił się w jasność dnia; kiedy i jak samotna wieża zaludniła się miriadami postaci, kiedy i jak ciche: — pędź go, dręcz!, — monotonnie dzwoniące poprzez sen i omdlenie Toba, ukształtowało się w wyraźny głos, który w czuwających jego uszach zawołał: — zbudź go ze snu! — Niepodobna też określić, kiedy i jak otrząsnął się z sennej, pogmatwanej myśli, a wszystkie te wydarzenia stały się rzeczywiście, wraz z całym orszakiem innych, nieistniejących. To jednak pewne, że kiedy Tobo przebudził się na deskach, na które padł, i stanął na

równych nogach, przed oczyma jego przesunęło się takie oto widziadło upiorne:

Wieża, ku której sprowadził go czar, zaludniona była karzełkowatymi zjawami, duchami, elfami dzwonów; widział je wciąż, skaczące, fruwające, spadające z dzwonów. Niektóre znajdowały się obok niego na ziemi, inne bujały w powietrzu, inne wspinały się po sznurach; inne jeszcze spoglądały nań przez szczeliny i dziury w ścianach; inne znów zataczały wokół niego coraz większe koła i rozwijały się jak marszczące się kręgi wodne, gdy je nagle zmąci kamień, z rozmachem wrzucony do wody. Widział je w najrozmaitszych postaciach i odmianach. Widział brzydkie i ładne, pokraczne i przepiękne. Widział młode i stare, dobre i złe, wesołe i ponure; widział, jak tańczyły, słyszał, jak śpiewały; widział też, jak niektóre wyrwały sobie włosy, inne zaś wyły przeraźliwie. Roilo się od nich w powietrzu. Widział, jak nieustannie przybływały i oddalały się. Widział, jak spuszczały się na dół, wzbijały się ku górze, szybowały w dal, to znów przystawały tuż obok, w gorączkowym pospiechu i niepokoju. Kamienie, cegły, ściany były dlań niemal tak samo przezroczyste, jak dla tych wszystkich istot. Widział, jak uwijały się w domach, u łóżek ludzi pogrążonych w śnie; widział jak uspakajały śpiących, innych znów smagały biczami, wrzeszcząc im w same uszy; widział, jak u niejednego wezgłowia śpiewały słodkie melodie, rozwesalając sennych głosami ptasząt i wonią kwiatów; widział, jak niektóre, za pomocą czarodziejskich zwierciadeł, zakłócały spokój śpiących strasznymi widziadłami.

Widział te istoty, uwijające się nie tylko wśród śpiących, lecz także wśród czuwających; spełniały czynności najrozmaitsze, wykluczające się nawzajem, posiadały bowiem czy przybierały natury niezmiernie różnorodne. Jedne z nich przypinały sobie mnóstwo skrzydeł, by wzmóc swą szybkość, inne obarczały się łańcuchami i ciężarami, by się poruszać jak najpowolniej. Widział, jak jedne popychały serca dzwonów w jedną, inne w przeciwną stronę, a jeszcze inne usiłowały je unieruchomić. Widział, jak jedne urządzały wesele, inne pogrzeb, w jednej sali odbywały się wybory, w drugiej urządzano bal, wszędzie zaś widział ustawiczny, niez mordowany ruch.

Oszołomiony zupełnie olbrzymią liczbą tych ciągle zmieniających się, dziwnych istot i straszny rozgwarem dzwonów, które przez cały ten czas biły i dźwięczały, Trotty oburącz chwycił się drewnianego słupa i trupio bladą twarzą zwracał to w jedną to w drugą stronę w niemym, bezgranicznym zdumieniu.

Gdy się rozglądał dokoła, dzwonienie nagle ustało. Dokonała się nagła zmiana! Cały orszak zniknął; postacie rozwiały się i jakby utraciły swą dawną szybkość; próbowały uciekać, ale w tejże chwili rozpadały się, rozplływały w powietrzu i umierały. A nowe zastępy nie zajmowały ich miejsca. Jakiś zapóźniony maruder szybko zeskoczył z wielkiego dzwonu i stanął na nogach; zmarł jednak, zanim się zdolał obrócić. Niektóre z tych, co dotąd tańczyły w dzwonnicy i wykonywały szalone skoki, pozostały tam i płały jeszcze przez chwilę, ale z każdym ruchem stawały się słabsze i węższe a po

chwili wszystkie spotkał los ich towarzyszy. Najdłużej pozostał przy życiu mały garbusek, który przycupnął w kąciaku i wirował tak długo i tak zapamiętale, że na ostatku pozostała z niego tylko jedna noga, później już tylko stopa, aż wreszcie skurczył się cały i zniknął; wtedy cisza zupełna zaległa starą wieżycę.

I wtedy dopiero, nie wcześniej, Trotty zobaczył w każdym dzwonie brodatą postać wielkości i kształtu dzwonu. Niepojęte! Postacie w dzwonach, a jednak były to dzwony same! Olbrzymie, poważne, o wyrazie posepnym, postacie te przyglądały mu się, gdy stał znieruchomiały, jakby przygwożdżony do miejsca.

Postacie tajemnicze i straszliwe, które, nie opierając się na niczym, zdawały niejako unosić się w wieżycy, przysłoniętymi głowami sięgając pułapu, nieruchome i mroczne. Zwiewne a ciemne, chociaż dostrzegł je w świetle bijącym od nich samych — przecież nie było nikogo innego — jak zakrzymowały sobie uborne usta rękami.

Byłby się szybko rzucił przez otwór w podłodze, ale nie mógł tego uczynić, gdyż zupełnie stracił władzę w członkach. W przeciwnym razie byłby to uczynił — ba, byłby wolał skoczyć ze szczytu wieży, niż czuć na sobie pilnujące go oczy, które byłyby go pilnowały i badały nawet wtedy, gdyby im wyrwano źrenice.

Przy tym lęk i trwoga przed samotnym miejscem i ciemną, okropną nocą, uciskały go, niby ręka upiora. Odcięcie od wszelkiej pomocy, wysokie, ciemne, duchami przepelnione, kręte schody, pomiędzy nim a ziemią, na której żyli ludzie; ta wy-

żyna, na której nawet lot ptaków widziany za dnia przyprawiał go o zawrót głowy; oddalenie od wszystkich dobrych ludzi, którzy o tej porze spokojnie spali w swych łózkach — wszystko to sprawiało, że raz po raz mroziła go nie myśl, a raczej fizyczne poczucie całej grozy położenia. A tymczasem oczy jego i trwożne myśli krążyły dokoła tych niesamowitych strażników, którzy niepodobni wprawdzie do żadnej postaci z tego świata, a to zarówno z powodu otaczającego ich mroku, jak też dla wyglądu i kształtów, oraz dzięki nadnaturalnemu unoszeniu się w powietrzu, byli jednak tak widoczni, jak ciężkie dębowe stołki, belki i krokwie, podtrzymujące dzwony. Otaczały je one istnym lasem obrobionego drzewa, a w ich skrzyżowaniach i plątaniu, niby w konarach tego upiornego, uschłego lasu, ponurzy ci i nieruchomi strażnicy, pełnili swą służbę.

Powiew, zimny i przenikliwy, z westchnieniem przebiegł wieżycę. Gdy ścichł, odezwał się wielki dzwon, czy też duch dzwonu.

— Co to za gość? — zapytał. Głos jego był głęboki i ponury, a Tobowi się zdawało, że inne postacie wtórują mu echem.

— Zdawało mi się, że dzwony wołały mnie po imieniu, — odrzekł Trotty, podnosząc ręce błagalnym gestem. — Sam nie wiem, dlaczego tu jestem i po co przyszedłem. Słuchałem dzwonów przez długie lata i nieraz sprawiały mi rozkosz.

— A czy im dziękowałeś za to? — rzekł dzwon.

— Po tysiąc razy, — odrzekł Trotty,

— Jak?

— Jestem biedny, — jękał się Trotty, — włącz tylko słowami mogłem im dziękować?

— A zawsze im dziękowałeś? — pytał duch dzwonu. — Czy nigdy nas nie obraziłeś słowami?

— Nie, — szybko odpowiedział Trotty.

— Czy nigdy nie powiedziałeś o nas nic złego, kłamliwego, ujemnego? — pytał dalej duch dzwonu.

Trotty chciał właśnie powiedzieć: — nigdy! — gdy nagle się zawahał, mocno pomieszany.

— Głos czasu, — mówiła zjawa, — woła do człowieka: idź naprzód! Czas istnieje dla postępu, dla udoskonalenia, dla nadania mu coraz większej wartości, dla ulepszenia życia, dla zbliżenia go do celu, widniejącego mu przed oczyma i w jego świadomości, a wytkniętego wówczas jeszcze, kiedy powstał czas i on. Czasy mroku, niegodziwości i gwałtu przychodziły i mijały. Niezliczone miliony cierpiały, żyły i umierały, by wskazać drogę leżącą przed nimi. Kto próbuje się cofnąć lub przystanąć, powstrzymuje potężną maszynę, która opierającego się jej zabije, a która z powodu chwilowego jej zatrzymania, pędzić musi potem z tym większą szybkością i rozpędem.

— Tego, o ile wiem, nie robiłem nigdy, — rzekł Trotty. — A jeśli to robiłem, to chyba całkiem przypadkowo i z pewnością nie chciałem tego.

— Kto czasowi lub jego sługom, — mówił duch dzwonu, — wkłada w usta żale za czasami, które uznane zostały za płytkie i pozostawiły po sobie ślady tak wyraźne, że dostrzegłyby to ślepiec — żale, które o tyle tylko służą teraźniejszości, że wskazują ludziom, jak bardzo potrzebny jest ich wysiłek, skoro można słuchać żalów za taką przeszłością —

kto to czyni, postępuje niesłusznie. A tego dopuściliście się ty wobec dzwonów.

Pierwszy, nadmierny lęk Toba minął. Czuł jednak dla dzwonów miłość i wdzięczność, więc usłyszawszy, że oskarżają go o tak wielką winę, uczuł w sercu ból i skrucę.

— Gdybyście wiedzieli, — rzekł, błagalnie składając ręce, — a może i wiecie... Gdybyście wiedzieli, jak często byliście mi towarzyszami, jak często napelniałyście mnie otuchą, gdy byłem zgnębiony; jak długo byliście rozrywką dla mojej Małgosi (jedyną może, jaką miała w życiu), gdy matka jej umarła i pozostało nas tylko dwoje, to, z powodu jednego niebacznego słowa, nie miałybyście do mnie urazy.

— Kto w dźwiękach dzwonów słyszy lekceważenie jakiegokolwiek nadziei czy radości, troski lub bólu udręczonej ludzkości, kto słyszy w nas potwierdzenie wiary, mierzącej ludzkie namiętności tak samo, jak odważa raczej nędznego jada, o które ludzkość troska się i dla której marnieje, ten nam wyrządza krzywdę. Taką krzywdę ty nam wyrządziłeś, — odpowiedział dzwon.

— Uczyniłem to, — rzekł Trotty; — och, wybaczcie!

— Kto w nas słyszy echo nędznego ziemnego robactwa, ciemniejszych istot złamanych i upokorzonych, a przeznaczonych jednak do czegoś wyższego, niż takie czerwy jednodniowe mogą sobie wyobrazić, — mówił dalej duch dzwonu, — kto to słyszy w naszych dźwiękach, ten nas krzywdzi; dlatego ty skrzywdziłeś nas.



— Bezwiednie, — rzekł Trotty, — nieświadomie. Nie chciałem tego.

— A w końcu i co najgorsze, — mówił znów dzwon, — kto odwraca się od upadłych i pohańbionych wśród współbraci, kto uważa ich za straconych, miast współczującym okiem szukać niezmiernie przepaści, w którą stoczyli się, porzucając dobro, lecz w upadku jeszcze czepiając się skrawka utraconego gruntu, trzymając się go, gdy konali już w głębi, okryci ranami, ten krzywdę wyrządza niebu i ludziom, czasowi i wieczności. A tę krzywdę ty wyrządziłeś.

— Litości — zawołał Trotty, padając na kolana; — miłosierdzia!

— Posłuchaj! — rzekł cień.

— Posłuchaj! — zawołały inne cienie.

— Posłuchaj! — odezwał się jasny głos dziecięcy, który Tobowi wydał się znany.

— W kościele, na dole, cicho zabrzmiały organy. Stopniowo tony ich potężniały, melodia wzbijała się ku sklepieniu, wypełniając chór i nawę. Z każdą chwilą silniejsze, rozprzestrzeniały się coraz dalej i dalej, płynęły coraz wyżej i wyżej, budząc czujące serca w potężnych dębowych słupach, w wydrążonych dzwonach, w żelazem obitych drzwiach, w kamiennych schodach, aż nie mogąc się pomieścić w murach wieżycy, wleciały ku niebu.

Nic dziwnego, że pierś starego człowieka nie mogła pomieścić dźwięków tak potężnych. Wyrwały się więc z tego ciasnego więzienia potokiem łez, a Toby rękoma przesłonił sobie twarz.

— Posłuchaj! — rzekł cień.

— Posłuchaj! — zawołały inne cienie.

— Posłuchaj! — rzekł głos dziecięcy.

Była to smutna posępna pieśń pogrzebowa. A wsłuchując się w nią, Trotty rozpoznał wśród śpiewaków głos swego dziecka.

— Ona umarła, — wykrzyknął starzec, — Małgosia umarła! Duch jej woła mnie! Słyszę go!

— Duch twej córki opłakuje to, co zmarło i przyłącza się do umarłych; opłakuje zmarłe nadzieje, zmarłe złudzenia, zmarłe sny młodości, — odparł dzwon, — lecz ona żyje. Z jej życia naucz się żywej prawdy. Naucz się od istoty, sercu twemu najdroższej, jak źli są ci, którzy urodzili się złymi. Spójrz jak ten pączek, płatek po płatku, opada z najpiękniejszej szypułki i spójrz, jaki jest biedny i smutny. Idź za nim! W rozpacz!

Wszystkie cienie wyciągnawszy prawe ręce, wskazywały ku dołowi.

— Duch dzwónów będzie ci towarzyszył, — rzekła postać. — Idź, on pójdzie za tobą.

Toby się odwrócił i ujrzał — dziecko! Dziecko, które Willi Fern niósł na ulicy, dziecko, nad którym czuwała Małgosia, a które teraz śpi.

— Ja sam je niosłem dziś wieczór, — rzekł Trotty, — na tych oto ramionach.

— Pokaż mu, co on nazywa sobą samym, — rzekły ciemne postacie, jedna po drugiej.

Wieża rozwarła się u jego stóp. Spojrzał w dół i ujrzał swą własną postać, leżącą na ziemi, na polu, zdruzgotaną i bez ruchu.

— Już nie żyje, — rzekł Trotty. — Umarł!

— Umarł! — powtórzyły równocześnie wszystkie postacie.

— Litościwe nieba! A Nowy Rok?

— Minał, — odpowiedziały postaci.

— Co? — zapytał drżąc. — Zabłąkałem się w ciemności, wysunąłem poza wieżę i runąłem z niej na ziemię — przed rokiem?

— Przed dziewięciu laty, — objaśniły postaci.

Dając tę odpowiedź, cofnęły wyciągnięte ręce i w miejscu, gdzie stały ich postaci, teraz znajdowały się dzwony.

I poczęły dzwonić, bo nadeszła ich pora. I znów zbudziły się do życia niezliczone cienie zjaw, znów poczęły się uwijać i spełniać różne czynności, jak poprzednio. I znów zniknęły i zapadły się w nicłość, gdy dzwony zamilkły.

— Kto to? — zapytał Trotty swego przewodnika. — Jeśli nie oszalałem, to kim są one?

— Duchy dzwonów. Ich dźwięki rzucone w powietrze, — odpowiedziało dziecko. — Przybierają one postać i zajęcia, zrodzone w myśli i nadziei śmiertelników oraz z ich wspomnień.

— A ty, — rzekł Trotty zmieszany, — kim ty jesteś?

— Cicho, cicho, — rzekło dziecko, — spójrz tu!

W ubogiej, niskiej izbie, zajęta szyciem, ukazała się oczom jego Małgosia, jego własna kochana córka. Nie próbował złożyć pocałunku na jej policzku, nie usiłował przycisnąć jej do kochającego serca: wiedział, że te pieśczoty już nie dla niego. Powstrzymał tylko urywany oddech i otarł łzy, zamierzając mu oczy, by mógł ją tylko widzieć.

Ach, jakże zmieniona jak zmieniona! Jasne spojrzenie jakże zamglone! Róż policzków jak zwiędłe! Piękna była jak zawsze. Ale nadzieja, nadzieja!

Ach, gdzież jest ta nadzieja, która przemawiała do niego tak żywym głosem?

Podniosła oczy od pracy i spojrzała na towarzyszkę. Trotty poszedł za jej spojrzeniem i cofnął się przerażony.

Od pierwszego rzutu oka poznał ją w dorosłej już dziewczynie. W długich jedwabistych włosach widział te same kędziory, koło ust widział ten sam wyraz dziecięcy, w oczach, badawczo teraz utkwionych w Małgosi, poznał to samo spojrzenie, jakim obrzuciła jej twarz, kiedy przyniósł ją do domu!

Ale co to?

Trwożnie wpatrując się w twarz, dostrzegł w niej coś nieznanego; coś uroczystego, nieokreślonego, niewytłumaczalnego, zaledwie wyrażającego myśl tego dziecka... jakim była jeszcze z wyglądu. A jednak było to to samo dziecko, to samo, i nosiło jeszcze tę samą sukienkę.

— Posłuchaj! Rozmawiają!

— Małgosiu, — z wahaniem poczęła Lilly, — jak ty często odrywasz wzrok od pracy, by spojrzeć na mnie!

— Czy moje spojrzenia tak się zmieniły, że cię trwożą? — zapytała Małgosia.

— Och, moja kochana, chyba żartujesz. Czemu się nie uśmiechasz Małgosiu, gdy patrzysz na mnie?

— Przecież się uśmiecham. Czy nie? — odpowiedziała, uśmiechając się do Lilly.

— Tak, teraz się uśmiechasz, — rzekła Lilly, — ale teraz zdarza się to tak rzadko. Gdy sądzisz, że jestem zajęta i nie patrzę na ciebie, masz twarz tak strapioną i zatrwożoną, że nie mam prawie odwagi spojrzeć na ciebie. Co prawda, w tym naszym

ciężkim, pracowitym życiu mało mamy powodu do radości, ale dawniej byłaś przecież taka wesoła?

— Czy teraz nie jestem wesoła? — odparła Małgosia dziwnie niespokojnie i wstała, by ją uściskać. — Lilly, czy ja ci może jeszcze utrudniam to nasze życie, i tak już dość ciężkie?

— Ty byłaś jedyną istotą, — rzekła Lilly, całując ją gorąco, — która mi dodawała otuchy, jedyną istotą, dzięki której życie sprawiało mi pewną radość. Taka praca, taka ciężka praca! Tyle godzin i tyle dni, tyle długich, długich nocy beznadziejnej, żmudnej, nieskończonej pracy, nie dlatego, by gromadzić skarby, czy prowadzić życie wygodne i wesołe, lub chociażby skromne, lecz tylko by zdobyć marny kawałek chleba, by nie zginąć z głodu i podtrzymać w sobie świadomość tego naszego ciężkiego losu. O Małgosiu, Małgosiu, — zawołała boleśnie, oplatając ją ramionami, — jak może świat być tak okrutny i tak obojętnie przyglądać się naszej nędzy!

— Lilly, — rzekła Małgosia, uspakajając ją i odgarniając jej włosy z zażawionej twarzyczki, — Lilly, ty, taka młoda i ładna!..

— Małgosiu, — przerwała jej Lilly, odsuwając się od niej nieco i błagalnie patrząc jej w twarz, — to właśnie najgorsze, najgorsze ze wszystkiego! Gdybym już była stara! Gdybym miała twarz zwiędłą i pomarszczoną, to byłabym wolną od myśli, wiodących mnie na pokuszenie w latach mej młodości.

Trotty odwrócił się, by spojrzeć na swego przewodnika. Ale duch dziecka zniknął i już go nie było.

On sam również nie został na tym samym miejscu, gdyż sir Joseph Bowley, przyjaciel i ojciec biednych, wydawał wielką ucztę w pałacu Bowleyów, w dzień urodzin lady Bowley; a ponieważ lady Bowley urodziła się w dzień Nowego Roku, (co pisma lokalne uważały za wyraźną wskazówkę Opatrzności, że lady Bowley został wyznaczony nr. 1), więc uczta odbywała się w święto Nowego roku.

W pałacu Bowleyów roiło się od gości. Był tam gentleman o czerwonej twarzy i pan Filer, i wielki alderman Cute — alderman Cute żywił bowiem gorące sympatie dla ludzi z dobrego towarzystwa, a jego stosunek do sir Josepha stał się znacznie bliższy od chwili napisania owego uprzejmego listu; od tego czasu należał niemal do przyjaciół domu. Było jeszcze mnóstwo innych gości, i był także duch Toba, snujący się niespokojnie i rozglądający się za swym przewodnikiem.

W wielkiej sali miał się odbyć uroczysty obiad, a sir Joseph Bowley, jako znakomity przyjaciel i ojciec biednych, miał w tym duchu wygłosić wielką mowę. Niektórzy z tych jego przyjaciół i dzieci mieli w innej sali jeść pudding, a na dany znak mieli ci przyjaciele i dzieci przyłączyć się do swych przyjaciół i ojców i stworzyć pewnego rodzaju zebranie rodzinne tak wzruszające, że ani jedno męskie oko nie miało być suche.

Ale miało się stać coś jeszcze donioślejszego. Coś jeszcze bardziej wzruszającego. Sir Joseph Bowley, baron i członek parlamentu, miał ze swymi chłopami zagrać w kręgle, osobiście zagrać w kręgle.

— To przypomina zupełnie, — zauważył alderman Cute, — czasy starego króla Henryka, mocnego króla Henryka, grubego króla Henryka. Ach, co to za niezwykły charakter!

— Bardzo, — sucho rzekł pan Filer, — o ile chodzi o jego małżeństwa i mordowanie żon. Bo, nawiasem mówiąc, więcej jest kobiet, niż potrzeba.

— Ty będziesz bawić się z pięknymi paniami i nie każesz ich mordować, prawda? — zwrócił się alderman Cute do dwunastoletniego przedstawiciela rodu Bowleyów. — Co za miły chłopiec! Zanim się opatrzmy, będziemy tego małego gentlemana mieli w naszym parlamencie, — perorował alderman, ujmując chłopca za ramiona i przyglądając mu się z uwagą, na jaką go tylko było stać. — Będziemy słyseć o jego zwycięstwie przy wyborach, o jego przemówieniach w izbie, o godnościach, ofiarowanych mu przez ministerstwo, o niezwykłych jego triumfach na wszystkich polach. Ach, i sami będziemy też w Radzie gminnej wygłaszać skromne mowy na jego cześć. Tak, zanim się opatrzmy, już to się stanie.

— O, całą różnicę stanowią tu trzewiki i pończochy, — myślał Trotty, lecz serce jego lgnęło do tego chłopca przez miłość do tych chłopców bez bucików i pończoch, które mogły być dziećmi biednej Małgosi, a o których przepowiadał alderman Cute, że będą złe i zepsute. — Ryszard, — westchnął starzec, wałęsając się wśród towarzystwa, — nie mogę znaleźć Ryszarda, gdzie on jest?

Z pewnością nie tu, jeśli jeszcze żyje! Ból i samotność całkiem wytrąciły Trotta z równowagi. Wciąż jeszcze błąkał się wśród dostojnego towarzy-

stwa, szukając wzrokiem swego przewodnika, by go zapytać: — Gdzie Ryszard? Gdzie jest Ryszard? — Chodząc to tu, to tam, spotkał pana Fisha, sekretarza sir Josepha, wielce zaniepokojonego.

— Na Boga, — rzekł pan Fish, — gdzie jest alderman Cute? Kto widział aldermana?

Kto widział aldermana? Dobry Boże, któżby go nie widział? Przecież on taki rozsądny, taki przystępny, tak uwzględniający naturalne pragnienie ludzi łaknących jego widoku, że jeśli popełni jakikolwiek błąd, to chyba ten, że ustawicznie rzucał się ludziom w oczy. A gdzie było dobre towarzystwo, tam z pewnością nie brakło aldermana, którego pociągało, oczywista, powinowactwo wielkich dusz.

Kilka głosów odpowiedziało, że alderman znajduje się w orszaku, otaczającym sir Josepha. Pan Fish przecisnął się do niego i podszedł z nim do okna, by pomówić na osobności. Trotty przyłączył się do nich. Nie z własnego popędu. Czuł, że jakas nieznana siła kieruje go ku nim.

— Kochany panie Cute, — rzekł pan Fish, — cofnijmy się nieco. Straszny wypadek. W tej chwili otrzymałem wiadomość. Myślę, że będzie najlepszej, jeśli sir Josephowi nic o tym w dniu dzisiejszym nie powiemy. Pan zna sir Josepha, więc mi poradzi, jak postąpić. Wypadek straszny i godny pożalowania!

— Panie Fish, kochany panie Fish, co się stało? — zapytał alderman. — Chyba nie rewolucja, co? Ani nie bunt przeciw władzy?



— Bankier Deedles, — mówił sekretarz, ciężko dysząc, Deedles & Co., który tu miał dziś być, człowiek tak poważany...

— Chyba nie zbankrutował? — wykrzyknął alderman. — To niemożliwe!

— Zastrzelił się!

— Wielki Boże!

— Przy swym kantorze włożył sobie w usta rewolwer, — opowiadał pan Fish, — i cały mózg rozprysnął się. Bez powodu — stosunki majątkowe znakomite.

— Stosunki! — wykrzyknął alderman. — Strasznie bogaty człowiek. Jeden z najszanowniejszych ludzi. I samobójstwo! Śmierć z własnej ręki!

— Dziś rano, — dokończył pan Fish.

— Och, mózg, mózg! — krzyknął pobożny alderman, wnosząc ręce ku niebu. — Och nerwy, nerwy! Tajemnice maszyny, zwanej człowiekiem! Jakże łatwo zrobić ją nieużyteczną! Jakież z nas biedne istoty! Może jakaś hulanka, panie Fish! Może postępowanie jego syna, który, jak słyszałem, prowadzi życie lekkomyślne i zaciąga długi na imię ojca! Człowiek tak szanowany! Jeden z najszanowniejszych ludzi, jakich znam. Wypadek godny pożałowania, nieszczęście publiczne! Postawię wniosek, by przywdziano głęboką żałobę. Człowiek tak szanowany! Ale ktoś nami rządzi! Musimy podać się jego wyrokowi!

— Co to panie aldermanie? Ani słowa o wytepieniu samobójstwa? Sędziol! Pomyśl o twym poczuciu etycznym i szumnych frazesach! Chodźno, panie aldermanie. Ustaw obydwie szale swej wagi. Na jedną, pustą, rzuć biedną kobietę, nie mającą

chleba, gdy mleko w piersiach wyschło jej od głodu i nędzy a dziecko jej pozbawione jest praw, należnych mu od czasów Ewy. Odważ tych dwoje, o, ty Danielu, wydający wyrok! Zważ ich w oczach tysięcy nieszczęśliwych, słuchających i pamiętających okropną farsę, jaką przed nimi odgrywasz! Albo przypuśćmy, że straciwszy zmysły — a niewiele ci brak do tego — targniesz się na swe życie, jako przestroga dla tobie podobnych — (jeśli tacy istnieją), — gdy natchnieni swą nadętą nikczemnością krakać będą istotom zrozpaczonemu, stojącym na skraju obłędu. Co wówczas?

Słowa te wydobyły się z piersi starca, jakby inny głos przez niego mówił. Alderman Cute zobowiązał się wobec pana Fisha, że pomoże mu zawiadomić sir Josepha o bolesnym wypadku, gdy minie ten uroczysty dzień. Po czym z gorzką boleścią, ściskając rękę pana Fisha, rzekł: — Tak godny człowiek! — Wreszcie dodał, że nawet on nie rozumie, jak mogą na świecie dziać się takie nieszczęścia.

— Moźnaby niemal przypuszczać, -- mówił alderman Cute, — że w ukształtowaniu warsztatu społecznego działają niekiedy siły wywrotowe. Bracia Deedles!

Gra w kręgle poszła znakomicie. Sir Joseph rzucał kule z wielką zręcznością; jego potomek grał z mniejszym rozmachem, a wszyscy doszli do przekonania, że wobec tego, iż baron i syn barona grają w kręgle, wieś dźwignie się z błyskawiczną szybkością.

O oznaczonej godzinie podano do stołu. Trotty bezwolnie ujął się z innymi do wielkiej sali, czu-

jąc, że wie dzie go coś, silniejszego od jego woli. Widok był uroczy. Piękne panie, weseli goście, ożywieni, w dobrych humorach. Gdy otworzono drzwi i wpłynęła przez nie fala ludzi w wieśniaczych strojach, piękne to widowisko dosięgło szczytu. Ale Trotty mamrotał coraz częściej: — Gdzie Ryszard? Powinien ją pocieszać i być jej pomocnym! Nie widzę tu Ryszarda.

Wygłoszono kilka mów i pito za zdrowie lady Bowley, a sir Joseph Bowley wyraził swe podziękowanie i wypowiedział swą wielką mowę, w której przy pomocy rozmaitych argumentów dowodził, że jest urodzonym ojcem i przyjacielem itd., po czym wznosił toast na cześć swych przyjaciół i dzieci oraz godności pracy. Ale w tej chwili jakieś wzburzenie w głębi sali przyciągnęło uwagę Toba. Po krótkiej wrzawie, hałasie i sprzeczce, jakiś mężczyzna przecisnął się przez ciżbę i stanął na przedzie.

Nie był to Ryszard, ale ktoś o kim nieraz myślał i kogo oczekiwał. Przy słabym oświetleniu mógłby się może pomylić co do tożsamości tego starego, siwego, pochylonego, wynędzniałego człowieka, ale w jasnym świetle lamp, padającym na jego potężną głowę, odrazu poznał Willa Ferna.

— Co to znaczy? — wykrzyknął sir Joseph, powstając. — Kto pozwolił wejść temu człowiekowi? To zbrodniarz, którego zamknięto w więzieniu. Panie Fish, bądź pan tak dobry...

— Jedną chwilkę, — rzekł Wille Fern, — jedną chwilkę, jaśnie panie. Jaśnie pani urodziła się w dniu dzisiejszym, równo z Nowym Rokiem. Proszę mi użyczyć jednej chwili czasu.

Lady Bowley szepnęła mężowi parę słów, a sir Joseph z wrodzoną mu godnością, znów zajął swe miejsce.

Obdarty gość — bo Will Fern ubrany był nędznie — rozejrzał się dokoła i głębokim ukłonem okazał gościom swe uszanowanie.

— Jaśnie państwo, — rzekł, — pili właśnie za pomyślność robotników. Proszę, spójrzcie na mnie.

— Przychodzicie prosto z więzienia, — rzekł pan Fish.

— Prosto z więzienia, — potwierdził Will, — i to nie po raz pierwszy ani drugi, ani nawet trzeci lub czwarty. — Pan Filer zauważył mruklawie, że kilkakrotne uwięzienie przynosi mu hańbę i że się powinien tego wstydić.

— Jaśnie państwo, — powtórzył Will Fern, — spójrzcie na mnie. Widzicie, jestem w takim położeniu, że mi już nie potrafiacie zaszkodzić, ani też pomóc; albowiem czasy, kiedy wasze dobre słowa czy dobre czyny mogły mi się być na coś przydać, — tu ręką uderzył się w piersi i potrząsnął głową, — czasy te ulotniły się z zapachem zeszlórocznego bobu lub koniczyny. Pozwólcie jednak, bym za tych tutaj, — ręką wskazał na zgromadzonych w sali robotników, — wyrzekł parę słów, a jeśli macie ochotę, to i wy możecie raz usłyszeć szczerą prawdę.

— Nie ma tu nikogo, kto by sobie życzył słuchać was! — rzekł gospodarz domu.

— Bardzo być może, sir Joseph. Niemniej prawdą jest, co chcę powiedzieć. Otóż, jaśnie państwo, ja w tej miejscowości żyłem przez wiele lat. Możecie jeszcze dotąd oglądać moją chałupę. Setki raz bogate panie rysowały ją i malowały. Słyszałem,

że na obrazie wygląda bardzo ładnie. Tylko, że na obrazie niema deszczu, ani śniegu, ani wichru. To też lepiej się ona nadaje do malowania, niż do mieszkania. Ja w niej jednak mieszkałem. Jak ciężkie i gorzkie w niej wiodłem życie, nie chcę nawet mówić. Każdego dnia i w każdej porze roku można się o tym przekonać.

Mówił tak samo, jak owego wieczora, gdy Trotty spotkał go na ulicy, tylko głos jego stał się głębszy i ostrzejszy, a od czasu do czasu drżał lekko. Nigdy jednak nie przybierał tonu namiętłego i rzadko też podnosił głos, opowiadając o sprawach tak prostych.

— Ciężej to, niż jaśnie państwo przypuszczają, — mówił, — wyrósć w takim miejscu na człowieka uczciwego. Że ja wyrosłem na człowieka, nie na zwierzę, jakim byłem dawniej, przemawia to na moją korzyść. Obecnie stan mój jest taki, że na nic mi się już nie przydadzą słowa ni czyny. Dla mnie wszystko skończone.

— Cieszy mnie, że ten człowiek przyszedł, — rzekł sir Joseph, wesoło rozglądając się po otoczeniu. — Proszę mu nie przerywać. Zdaje się, że Opatrzność sama go tu zesłała. Jest on przykładem, żywym przykładem. Wierzę i jestem przekonany, że moi przyjaciele z tego skorzystają.

— Jakoś się przebijałem, — mówił Fern po chwili milczenia; — tak czy owak. Ani ja, ani nikt inny, nie mogliśmy powiedzieć, w jaki sposób; ale było to życie tak ciężkie, że nie mogłem przybierać wesołej miny i udawać, że jestem inny, niż byłem w rzeczywistości. Wy, panowie, zasiadający w parlamencie, na widok człowieka o twarzy niezado-

wolonej, mówicie do siebie: „To człowiek podejrzany. Co do tego Willa Ferna, mamy pewne wątpliwości”, powiadacie. „Trzeba się mieć na baczności przed tym ptaszkiem. Nie powiem, aby to z waszej strony było czymś nienaturalnym. Ale powiadam, że od tej chwili wszystko, co Will Fern robi czy nie robi, idzie na jego rachunek!

Alderman Cute wetknął wielkie palce obydwu rąk w kieszenie od kamizelki, a rozparłszy się w krzesło uśmiechał się i mrugał do stojącego w pobliżu kandelabra, jakby chciał powiedzieć: „Oczywiście! Czyż nie mówiłem? Zwykła gadanina! Niech was Bóg strzeże! Sprostamy temu wszystkiemu — ja i natura ludzka.

— Otóż, panowie, — mówił Will Fern, wyciągając ręce przed siebie, a chuda jego twarz poczerwieniała na chwilę, — pomyślcie tylko, jak wyglądają wasze ustawy, mające nas ścigać i przesładować, gdy do tego dojdzie. Próbuję żyć gdzie indziej. Wtedy staję się od razu włóczęgą i awanturnikiem. Dalej z nim do więzienia! Idę do waszych lasów zbierać orzechy i odłamuję — kto tego nie robi? — jedną, czy dwie gałązki. Do więzienia z nim! Wasz leśny widzi mnie w jasny dzień w pobliżu mego własnego ogrodu ze strzelbą na plecach. Do więzienia z nim! Wydostawszy się z więzienia, chcę się z nim naturalnie policzyć i rzucam parę słów obelżywych. Do więzienia z nim! Wytnę sobie kij. Do więzienia z nim! Zjem zgniłe jabłko lub buraka. Do więzienia z nim! Więzienie odległe stąd o dwadzieścia mil, więc wyszedłszy na wolność, proszę po drodze o jakąś drobnostkę. Do więzienia z nim! Jednym słowem,

policjant, leśny, strażnik, spotykają mnie na każdym kroku i za każdym razem przychwytyują mnie na jakimś przestępstwie. Do więzienia z nim! To wólczega i znany bywalec więzienny; areszt stał się jedynym jego domostwem.

Alderman z przekonaniem potakiwał głową, jakby chciał powiedzieć: — Tak, i bardzo dobrym domostwem!

— Czy mówię to w mojej sprawie? — mówił dalej Fern. — Kto mi może zwrócić moją swobodę, moje dobre imię, moją niewinną siostrzenicę? Wszyscy lordowie i wszystkie wielkie panie całej Anglii uczynić tego nie mogą. A jednak, posłuchajcie panowie: przynajmniej z innymi postępujcie inaczej. Dajcie nam na miłość boską lepsze mieszkania od tych, w których przyszliśmy na świat; dajcie nam lepsze pożywienie, niż to, na które pracujemy, dajcie nam łagodniejsze ustawy, Ly nas na właściwą drogę nawrócić, jeśli zblądzimy, i nie stawiajcie nam przed oczyma, gdziekolwiek się zwrócimy, kajdan i aresztów. Wtedy z całą gotowością i wdzięcznością robotnik przyjmie i uczyni dla was wszystko, co tylko człowiek uczynić zdoła. Bo serce jego jest cierpliwe, spokojne i chętne. Ale wprawdzie musicie w nim zbudzić odpowiednie uczucia. Bo, czy jest on szczytkiem lub ruiną człowieka, jak ja obecnie, czy też podobny jest do tych, co tu przed wami stoją, wy jesteście dla niego czymś obcym. Więc, panowie, odzyskajcie jego serce, zanim nadejdzie dzień, kiedy, pod wpływem jego zmienionych poglądów, nawet biblia będzie mu brzmieć inaczej i zacznie doń mówić, jak zdawała się mówić do

mnie w więzieniu: — Dokąd ty pójdziesz, ja pójść nie mogę. Gdzie ty mieszkasz, tam ja nie mieszkam. Twój lud nie jest moim ludem, a twój Bóg nie jest moim Bogiem — .

W sali wszczął się nagle dziwny ruch i zamieszanie. Trotty myślał w pierwszej chwili, że kilku ludzi wstało, by wyrzucić Willa Ferna i dlatego wyglądają teraz inaczej. Ale już w następnej chwili spostrzegł, że sala i całe towarzystwo zniknęły mu z przed oczu, natomiast ujrzał znów swą córkę, schyloną nad robotą, ale w izbie jeszcze niższej i uboższej, niż poprzednio, i bez Lilly.

Krosna, przy których tamta pracowała, stały na gzymsie i były przykryte. Krzesło, na którym siedziała, stało pod ścianą. Z tych drobnych szczegółów, a przede wszystkim z bladej, zgnębionej twarzy Małgosi wyczytał całą historię! Och, choćby jej nie wyczytał!

Małgosia miała oczy utkwione w robocie dopóki się nie ściemniło, a gdy zmrok zapadł i już nie mogła rozróżnić nitki, zapaliła małe światełko i dalej pracowała. Wciąż jeszcze stary jej ojciec niewidzialnie bawił przy niej i spoglądał na nią, Kochał ją, — jakże gorąco ją kochał! — i mówił do niej pieszczotliwie o starych czasach i o dzwonach, jakkolwiek biedny Trotty dobrze wiedział, że ona go słyszeć nie może.

Minęła już znaczna część wieczoru, gdy ktoś zapukał do drzwi. Otworzyła. W progu stał mężczyzna, trzęsący się na nogach, pijany, brudny, ze śladami występku i nieumiarkowania na zniszczonej twarzy, a zmierzwiłone włosy i rozczochrane broda potęgowały jeszcze ten obraz zaniedbania.



Przy bliższym jednak przyjrzeniu się można było odkryć w nim resztki urody i pewnego dostatku.

Przystanął na progu, czekając, czy mu wolno wejść, a ona, cofnąwszy się o parę kroków, patrzyła nań milcząca i strokana. Życzenie Toba spełniło się: zobaczył Ryszarda.

— Czy mogę wejść, Małgosiu?

— Tak, wejdź.

Dobrze, że Trotty go poznał, zanim przybysz przemówił. W przeciwnym razie, sądząc po dźwięku tego ochryplego, szorstkiego głosu, byłby myślał, że to kto inny, a nie Ryszard.

W izbie były tylko dwa krzesła. Podsunęła mu swoje, a sama stanęła parę kroków od niego i czekała, co jej ma do powiedzenia.

On jednak usiadł i bezmyślnie wbił oczy w podłogę, z tępym głupawym uśmiechem, przedstawiając widok takiego upodlenia, takiej beznadziejności, takiego głębokiego upadku, że ona rękami zasłoniła sobie oczy i odwróciła głowę, by nie widział jej głębokiego przejęcia.

Zbudzony szelestem jej sukni, czy innym jakimś szmerem, podniósł głowę i zaczął mówić, jakby dopiero co był wszedł:

— Wciąż jeszcze przy robocie, Małgosiu? Pracujesz do późnej nocy?

— Jak zawsze.

— A także o świcie?

— Także.

— Tak ona mówiła. Mówiła, że nigdy nie jesteś zmęczona, a przynajmniej nigdy się do tego nie przynajez. Przez cały czas, kiedy mieszkaliście razem. Nawet wtedy nie, gdy omdlewałaś ze zmę-

czenia i głodu. Ale mówiłem ci już o tym, kiedy tu byłem ostatnim razem?

— Tak, — odrzekła, — ale prosiłam cię, byś mi nic więcej o tym nie opowiadał. A ty dałeś mi uroczyste przyrzeczenie, że nigdy już tego nie zrobisz.

— Uroczyste przyrzeczenie, — powtórzył z idiotycznym uśmiechem, bezmyślnie patrząc przed siebie. — Uroczyste przyrzeczenie. Tak!

Po krótkiej pauzie, jakby nawiązując do poprzedniego tonu, zapytał z nieoczekiwanym ożywieniem: — Co ja mam zrobić, Małgosiu? Co mam zrobić? Ona znów była u mnie.

— Znów, — rzekła Małgosia składając ręce. — Och, czy tak często o mnie myśli? Znów była?

— Jakie dwadzieścia razy! — rzekł Ryszard. — Małgorzato, ona mnie wprost prześladowuje. Biegnie za mną na ulicy i wsuwa mi to do ręki. Słyszę jej kroki cicho sunące po popiele, gdy jestem w kuźni. Ha, ha! Nie często się to zdarza! A zanim odwrócę głowę, słyszę jej głos: — Ryszardzie, nie odwracaj się! Na miłość boską, zanieś jej to! — Przynosi mi to do mieszkania. Przysyła w listach. Puka do okna i kładzie na parapecie. Co mam robić? Spójrz tylko!

Trzymał w ręku małą sakiewkę i dzwonił pieńdzmi.

— Schowaj to, — rzekła Małgosia, — schowaj! Jeśli znów przyjdzie, to powiedz jej, Ryszardzie, że kocham ją całą duszą, że nigdy nie kładę się do snu, bym jej wpierw nie pobłogosławiła i nie pomodliła się za nią, że przy mej samotnej pracy ciągle o niej myślę, że dniem i nocą jestem przy niej. że

w chwili śmierci jeszcze o niej myśleć będę, ale że na to ja patrzeć nie mogę.

Powoli cofnął rękę i ściskając sakiewkę, rzekł z senną powagą:

— Przecież jej to powiedziałem. Powiedziałem jej tak jasno, jak tylko w słowach powiedzieć można. Ten podarek odnosiłem przecież tyle razy i kładłem na jej progu. Ale gdy znów przyszła i stanęła przede mną oko w oko, co miałem począć?

— Widziałeś ją? — wykrzyknęła Małgosia. — Widziałeś ją? O, Lilly, moja droga, moja słodka Lilly!

— Widziałem, ją, — mówił dalej, nie odpowiadając, lecz wciąż jeszcze zajęty swymi myślami. — Stała, drżąc cała i mówiła: — Jak ona wygląda, Ryszardzie? Czy wciąż jeszcze o mnie mówi? Czy schudła? A moje miejsce przy stole — kto zajmuje moje dawne miejsce? A krosna, na których uczyła mnie haftować — czy je spaliła, Ryszardzie? — Tak było. Tak do mnie mówiła.

Małgosia, tłumiąc westchnienia, pochyliła się nad nim, by nie uronić ani jednego słowa, a łzy spływały jej z oczu.

Wsparłszy łokcie na kolanach, całą postacią podany naprzód, jakby to, co mówił, w nawpół zatartym piśmie widniało na podłodze, a on miał dopiero odczytać i złożyć, mówił dalej: — Ryszardzie, upadłam bardzo nisko, a możesz sobie wyobrazić, ile cierpiałam, gdy mi to zwrócono, a ja się raz jeszcze na to zdobywam, by własnoręcznie znów to przynieść. Ale ty ją kiedyś kochałeś, nawet jeszcze za mojej pamięci. Inni was rozdzielili, niepewność, wątpliwości, zazdrość, próżność oddaliły cię od

niej. Ale ty ją przecież kochałeś, odkąd tylko pamiętam. — Zdaje mi się, że to jest prawda, — rzekł przerywając swe opowiadanie. — Ale to nie należy do rzeczy. — Ryszardzie, jeśli ją kiedykolwiek kochałeś, jeśli w pamięci zachowałeś to, co minęło i znikło, to raz jeszcze jej to zanieś! Jeszcze raz! Powiedz jej, jak bardzo cię prosiłam i nalegałam. Powiedz jej, jak głowę złożyłam na twym ramieniu, gdzie spoczywała może jej głowa i jak pokornie cię prosiłam, Ryszardzie. Powiedz jej, że patrzyłeś na moją twarz i że cała piękność, którą ona tak sławiła, minęła całkowicie i pozostała tylko blada, wychudła mara, nad którąby płakała, gdyby ją zobaczyła. Powiedz jej wszystko i jeszcze raz jej to zanieś, a ona już teraz nie odmówi, nie będzie tak bezlitosna!

Siedział zadumany, powtarzając ostatnie słowa, dopóki się znów nie ocknął.

— Nie przyjmiesz tego, Małgosiu? — zapytał powstając.

Potrząsnęła głową przecząco i prosiła go, by odszedł.

— Dobranoc, Małgosiu.

— Dobranoc.

Odwrócił się, by na nią spojrzeć, zdumiony jej bólem, a może też i współczuciem dla niego, przejawiającym się w drzeniu jej głosu. Był to odruch chwilowy, który postać jego ożywił odblaskiem dawnej tężyzny. Ale trwało to tylko parę sekund. Następnie zwiesił głowę i odszedł, jak przyszedł, a nawet owa iskra zgasłego ognia nie roznieciła w nim świadomości obecnego jego upodlenia.

Małgosia zmuszona była pracować, mimo udęki, bólu i dolegliwości fizycznych i duchowych. Usiadła i znów się zabrała do szycia. Głęboka noc, północ, a ona wciąż jeszcze pracuje.

Podtrzymywała w piecyku słaby ogień, gdyż noc była bardzo mroźna, a od czasu do czasu wstawała, by rozniecić żar. Dzwony biły pół do pierwszej, kiedy pogrzebaczem przegarniała ogień, a gdy się podniosła z klęczek, usłyszała lekkie pukanie do drzwi. Zanim miała czas dać folgę zdumieniu, że ktoś przychodzi o tak późnej godzinie, drzwi się rozwarły.

— O młodości, o urodo, przeznaczone do szczęścia, spójrzcie! O młodości, o urodo, błogosławione i błogosławiące wszystkiemu, co się z wami zetknie, i służące celom dobrotliwego swego Stwórcy, spójrzcie!

Spojrzała na wchodzącą postać i zawołała:  
— Lilly!

Tamta szybko przypadła do niej, osunęła się na kolana i uczepiła się jej sukni.

— Wstań, droga Lilly! Wstań, dziecko moje!

— Nigdy, Małgosiu, nigdy! Tu, tu chcę być przy tobie, trzymać cię w mych objęciach, czuć na mej twarzy twój oddech słodki!

— Droga Lilly, Lilly ukochana, moje dziecko jedyne! Własna matka nie mogłaby cię kochać goręcej! Złóż głowę na mej piersi.

— Nigdy już, Małgosiu, nigdy! Gdy cię ujrzałam po raz pierwszy, klęczałaś przede mną. Teraz pozwól mi umrzeć na klęczkach przed tobą. Pozwól mi tu umrzeć!

— Wróciłaś do mnie, Dziecko ukochane, będziemy znów żyć razem, razem pracować, mieć nadzieje i razem też umrzemy!

— Ach, pocałuj mnie, Małgosiu! Opleć mnie ramionami! Przyciśnij do swej piersi! Spójrz na mnie życzliwie, ale nie podnoś mnie z kłęczek. Pozwól mi tak pozostać u swych stóp, pozwól mi po raz ostatni patrzeć w twą twarz!

O młodości, o urodo, przeznaczone do szczęścia, spójrzcie! O młodości, o urodo, służące celom dobrotliwego Stwórcy, spójrzcie!

— Wybacz mi, Małgosiu! Droga, kochana, wybacz! Wiem, że to czynisz, widzę, że mi wybaczasz, ale powiedz mi to, Małgosiu, powiedz!

Powiedziała jej to, przyciskając usta do twarzy Lilly i obejmując ramionami istotę — czuła to — złamaną.

— Niech ci Bóg wynagrodzi, najdroższa! Jeszcze raz mnie pocałuj! On pozwolił jej usiąść u Swych świętych stóp i osuszyć je włosami. Małgosiu, tyle współczucia, tyle miłosierdzia!

Gdy umarła, duch powracającego dziecka, niewinny i promienny, dotknął Toba i skinał ręką, by szedł dalej.

## ROZDZIAŁ CZWARTY

Ponowne wspomnienie upiornych postaci w dzwonach; ponowne, słabe rozróżnienie ich dźwięków; niejasna świadomość, że widział już raz po raz odnawiające się role zjaw, aż zarysy ich rozplynęły się w mnogości obrazów; nieokreślone uczucie, że minęło wiele lat — i oto Trotty, widziany przez ducha dziecka, znów znalazł się w towarzystwie ludzi.

Tęgich, czerwonych, zadowolonych ze siebie! Było ich tylko dwóch, ale czerwoni byli za dziesięciu. Siedzieli przed jasno buchającym płomieniem, przy niskim stoliku, a wobec tego, że woń gorącej herbaty i grzanek nie trwała tu dłużej, niż zazwyczaj, to chyba przypuszczać należało, że stolik ten dopiero co został nakryty. Wobec tego jednak, że filiżanki i spodki stały czyste na jzysie, a mosiężny widelec do przewracania grzanek wisiał w tacie, wyciągając swe beczynne cztery palce, jakby mu brano miarę na rękawiczki, nie było więc innych widzialnych oznak niedawnego posiłku, oprócz wygrzewającego się, mrużącego kota, pewnych palców, z upodobaniem gładzących bujną brodę, i zażywnych, by nie powiedzieć tłuszczem zalanych, twarzy obojga państwa.

Ta otyła para, najwidoczniej małżonków, uczciwie podzieliła się ogniem kominka, patrząc na strzelające iskry, które padały w ruszt, i kiwając się w półdrzemce, to znów budząc się, gdy rozżarzony węgiel, większy od innych, z trzaskiem zleciał w płomień, jakby ogień zrywał się do odlotu.

Nie zanosiło się jednak na to, by rychło miał wygasnąć. Płonął bowiem nie tylko w małym pokoju i na malowanych szybach drzwi oraz na przesłaniających je portierach, lecz także w przeciwnym sklepiku. W małym sklepiku, przepelnionym zapasami, w sklepiku wprost żarłocznym, o żołądku tak olbrzymim, jak żołądek rekina i jak on napchanym: serem, masłem, smolakami, mydłem, wędzonką, zapałkami, słoniną, piwem, konfiturami, karmelkami, ziarnem dla ptaków, surową szynką, niotłami, krzesiwem, solą, octem, pastą do obuwia, śledziami, przyborami do pisania, sosem grzybowym, szpagatem, chlebem, piłkami, jajami i rysikami; wszystkie te artykuły, to jakby ryby, które dostały się do sieci tego żarłocznego sklepiku. Jakże jeszcze artykuły znajdowały się tu, trudno byłoby określić, ale były tam kłębki szpagatu, wieńce cebuli, świece w funtowych paczkach, szczotki umocowane tuż pod sufitem gdy flaszki i gasiorki rozmaitego kształtu, z których wydobywały się nęcące zapachy, stwierdzały słusność szyldu, obwieszczającego publiczności, że właściciel tego sklepiku jest koncesjonowanym sprzedawcą herbaty, kawy, tytoniu, pieprzu i tabaki.

Przejrzawszy towary, widoczne przy wesołym blasku ognia i mniej wesołym płomieniu dwóch kopających lamp, słabo palących się w sklepie, jak-



by nadmiar krwi dusił im płuca, Trotty przeniósł następnie wzrok na drzemającą przy kominku parę i w otyłej niewieście od razu poznał panią Chickenstalker, która zdradzała skłonność do tuszy już w owych dniach, kiedy to figurował w jej księdze z drobnym długiem.

Rysy jej towarzysza były mu mniej znane. Wydatny, zwisający podbródek, pełen fałd, w które możnaby wetknąć palec, wybaluszone oczy, które jakby protestowały przeciwko temu, że coraz głębiej zapadają się w tłuszcz gąbczastej twarzy, nos, obarczony pewną wadą w funkcjonowaniu, zwaną pospolicie zatknięciem, krótka gruba szyja i sapiąca pierś, obok innych, równie pięknych rysów, dość były osobliwe, by się wryć w pamięć Toba; a jednak nie mógł ich w pierwszej chwili przypisać nikomu ze swych znajomych. Wreszcie w tym towarzyszcu prostej i krzywej drogi życia pani Chickenstalker poznał dawnego portiera sir Josepha Bowleya, apoplektycznego głupca, który w jego wspomnieniach od lat łączył się z osobą grubej pani Chickenstalker, gdyż on to umożliwił mu dostęp do domu, gdzie, przyznawszy się do drobnej zaległości wobec tej damy, ściągnął był ciężkie gromy na swą nieszczęsną głowę.

Po tylu zmianach, oglądanych poprzednio, Toba niebardzo ineresowała zmiana w karierze życiowej dawnego portiera. Ale asocjacja myślowa bywa niekiedy dość silną; to też mimo woli rzucił okiem na ścianę, gdzie kredą zapisane widniały długie klientów. Jego nazwiska nie było. Przeczytał kilka nazwisk, całkiem mu nieznanymi i zauważył też, że lista ich była znacznie skromniejsza niż dawniej,

z czego wywnioskował, że portier uznaje głównie obroty gotówkowe i że, przystąpiwszy do interesu pani Chickenstalker, dobrze patrzył na palce jej dłużnikom.

Trotty był tak zrozpaczony i zgnębiony zwarzoną młodością i niespełnionymi nadziejami córki, że smutno mu nawet było, iż nie figuruje wśród dłużników pani Chickenstalker.

— Jak tam na dworze, Anno? — zapytał dawny portier sir Josepha Bowleya, wyciągając nogi przed ogniskiem i trąc je, dokąd sięgnąć mogły jego krótkie ramiona, przy czym twarz jego wyrażała takie mniej więcej przekonanie: — Oto wygrzewam się tu podczas słoty, a w pogodę również nie muszę wychodzić.

— Wiatr zimny a niebo coś tak wygląda, jakby miał spaść śnieg, — odrzekła żona. — Przy tym noc jest bardzo ciemna.

— To dobrze, że mieliśmy grzanki, — mówił dawny portier, tonem człowieka, którego sumienie poszło na emeryturę. — Taka noc jest jakby stworzona dla grzanek, miękkiego ciasta i pączków. — Dawny portier wymieniał te rodzaje pieczywa, jak gdyby wyliczał swe dobre uczynki. Potem znów zaczął sobie nacierać grube łydki, kręcąc kolanami, by wystawiać na żar „części mniej przwpieczone” dodał, krztusząc się od śmiechu, jakby go łaskotano.

— W dobrym coś jesteś humorze, mój drogi Tugby, — zauważyła żona.

Firma brzmiała obecnie: „Tugby, dawniej Chickenstalker”.

-- Nie, w nieszczególnym, — odparł Tugby. — Jestem tylko trochę podniecony. — Grzanki były

take smaczne. — Przy tym znów się zaśmiał, aż twarz jego stała się całkiem fioletowa, a odzyskanie poprzedniej barwy kosztowało go tyle trudu, że jego krótkie grube nogi wykonywać musiały w powietrzu przedziwne ruchy. I nie przybrały pozycji przyzwyczajonej, aż dopiero pani Tugby, potrząśnięciem i kulakami w plecy doprowadziła ich właściciela do pewnej równowagi.

— Boże wielki, co się z tobą dzieje, mężul! — krzyknęła przerażona pani Tugby. — Co ci jest?

Pan Tugby przecierał załzawione oczy i słabym głosem powtarzał, że czuje się trochę podniecony.

— Więc proszę cię, mój drogi, nie bądź już więcej podniecony — rzekła pani Tugby — bo tym wymachiwaniem i dyndaniem nogami śmiertelnie mnie przerażasz.

Pan Tugby przyrzekł, że się to już nie powtórzy. Ale życie jego było ciągłą walką, w której, wnosząc z coraz to krótszego oddechu i coraz ciemniejszej purpury na twarzy, miał w końcu ulec.

— Zimny wiatr i niebo zapowiadają śnieg, a noc bardzo ciemna. Prawda, moja droga? — odezwał się pan Tugby, patrząc w płomień i znów wracając myślą do powodu swej wesołości.

— Tak, ostra zima! — potwierdziła żona, kiwając głową.

— Tak, tak — rzekł pan Tugby — lata są pod tym względem podobne do chrześcijan; jedni mają ciężką śmierć, a inni lekką. Ten rok niewiele ma już przed sobą, a jednak walczy do upadłego. To mi się podoba. — Wszedł ktoś do sklepu, żono.

Ale pani Tugby wstała już za pierwszym skrzypnięciem drzwi.

— Czym mogę służyć? — zapytała, wchodząc do sklepu. — Ach, przepraszam, nie wiedziałam, że to pan.

W ten sposób usprawiedliwiała się wobec gentlemana w czarnym ubiorze, który, w kapeluszu nasadzonym lekko na bakier i z rękoma w kieszeniach, niedbale siadł okrakiem na beczce piwa.

— Złe z nim, pani Tugby — rzekł przybyły. Człowiek ten nie będzie żył.

— Ten na poddaszu? — zapytał Tugby, który również wszedł do sklepu, by wziąć udział w rozmowie.

— Tak, ten na poddaszu, — rzekł gentleman, — choroba postępuje szybko i niebawem będzie koniec.

Przenosząc wzrok z Tugby na jego połowicę i na odwrót, badał nogami, jak wysoko jeszcze sięga piwo w beczce, a zbadawszy należycie, zaczął bebnąć marsza na pustej jej części.

— Ten na poddaszu — zwrócił się gość do Trugbyego, który przez chwilę stał w niemym przerażeniu — podzielił los wszystkiego, co żyje.

— Nie sądzę, by go jeszcze można przewieźć, — mówił dalej, potrząsając głową. — Nie wziąłbym na siebie takiej odpowiedzialności. Lepiej go tu zostawić. Długo to już nie potrwa.

— To jest jedyny punkt, co do którego musiałem się sprzeczać z żoną, — rzekł Tugby, gdy waga, na której położył swą rękę, z trzaskiem opadła na ladę. — I co z tego? Po tym wszystkim gotów jeszcze tu umrzeć, na naszym gruncie, w naszej posiadłości, w naszym domu!

— A gdzie miałby umrzeć, Tugby? — zapytała żona.

— W przytulku, — odparł. — Poco są przytulki, he?

— Nie po to, — odrzekła pani Tugby z niezwykłą energią. — Nie po to. I nie dlatego wyszłam za ciebie, Tugby, abyś mną rządził. Ja tego nie chcę i nie pozwolę na to. Raczej się z tobą rozwiode i nigdy się już nie zobaczymy. Kiedy nad tymi drzwiami widniało jeszcze moje nazwisko wdowieńskie, co trwało długie lata, dom pani Chickenstalker znany był daleko i szeroko, i zawsze cieszył się dobrą sławą i szacunkiem. Kiedy nad tymi drzwiami widniało jeszcze moje nazwisko wdowieńskie, znalazłam go jako silnego, przystojnego, najurodziwszą chłopaka; i znam ją: najmiłszą, najurodziwszą dziewczynę, jaką kiedykolwiek widziałam w życiu; i znalazłam jej ojca (biedny staruszek, spadł z wieży, na którą wszedł w śnie lunatycznym i zabił się na śmierć) najuczciwszego, najpracowitszego, najłagodniejszego człowieka na świecie. I gdybym ich wypędziła z domu, to niech anieli mnie wypędzą z nieba! Co by też uczynili sprawiedliwie!

Jej stara twarz, która była tak okrągła i miała wdzięczne dołeczki, zanim się dokonała zmiana, znów promieniała jak dawniej; a gdy otarłszy oczy, kiwała głową do męża, powiewając równocześnie chusteczką z wyrazem niewzruszonej stanowczości, Trotty rzekł: — Niech ją Bóg błogosławi! Niech ją Bóg błogosławi!

Następnie z bijącym sercem czekał, co nastąpi, bo nic przecież nie wiedział, poza tym, że mówiono o Małgosi.

Jeśli Tugby w pokoju był trochę podniecony, to teraz wszystko się zrównoważyło, gdyż popadł

w przygnębienie nielada, patrząc na żonę i nie znajdując słowa odpowiedzi. Pokryjomu jednak — może przez roztargnienie, a może z przezorności — wszystkie pieniądze z kasy zagarnął do kieszeni.

Gentleman, siedzący na beczce z piwem, zapewne asystent lekarski z przytułku dla ubogich, był widocznie zbyt oswojony z tego rodzaju różnicą zdań pomiędzy małżonkami, by się wtrącać do sprzeczki familijnej. Siedział na beczce, pogwizdując cicho, a kropelki piwa sączyły się z czopa na podłogę. Gdy nastąpiło milczenie, podniósł głowę i zwracając się do pani Tugby, o wdowieńskim nazwisku Chickenstalker, rzekł: — Ta kobieta posiada jeszcze dotychczas pewien wdzięk. Jak to się stało, że wyszła za niego?

— To właśnie stanowi najbardziej okrutną część jej losów, — rzekła pani Tugby, siadając w pobliżu niego. — Widzi pan, ona i Ryszard kochali się przed laty. Gdy jeszcze oboje byli młodzi i przystojni, wszystko zostało ułożone i raz, w dzień Nowego Roku, postanowili wziąć ślub. Tymczasem Ryszardowi strzeliło coś do głowy, gdyż jacyś panowie mu powiedzieli, że pożałuje tego ożenku, bo młody i przystojny chłopiec nie powinien się żenić. Ci wielcy panowie wzbudzili w obojgu trwogę i niepokój, przepowiadając, że on ją rychło porzuci, a dzieci ich pójdą na szubienicę, że zawieranie małżeństwa jest występkiem itp. Jednym słowem, oboje zaczęli się wahać i zwlekać i zastanawiać się; stopniowo tracili do siebie zaufanie, aż wreszcie całkiem się rozeszli. Ale wina była po jego stronie. Ona byłaby w każdej chwili została jego żoną. Nieraz widywałam ją później, znękaną i zrozpaczoną, gdy

obojętnie przechodził obok niej; a już najbardziej cierpiała wtedy, gdy Ryszard począł schodzić na manowce.

— To on zeszedł na manowce? — zapytał gentleman, wyciągając czop z beczki, by zajrzeć do jej wnętrza.

— Bo widzi pan, mnie się zdaje, że on sam nie wiedział dobrze, czego chce. Zdaje mi się, że sobie wziął do serca to zerwanie i, gdyby nie był się wstydził tych panów i nie obawiał się, że ona go już może nie chce, to z pewnością byłby zrobił wszystko, by odzyskać przyzwolenie i rękę Małgosi. Jestem tego pewna. On wprawdzie nigdy o tym nie mówił, ale tym gorzej. Zaczął pić, przebywać w złym towarzystwie, rozpróżniaczył się, używając swobody życia, która miała być znacznie lepszą od małżeństwa. Stopniowo tracił dobrą sławę, zdrowie, siły, przyjaciół, pracodawców, wszystko!

— Nie wszystko, pani Tugby, — zauważył gentleman, — bo zdobył przecież żonę, a radbym wiedzieć, w jaki sposób.

— Zaraz panu opowiem. Otóż takie życie prowadził przez długie lata, upadając coraz niżej i niżej, a ona, biedaczka, dość się mordowała, by zarobić na życie. Wreszcie doszło do tego, że nikt mu już nie chciał powierzyć roboty, by nie mieć z nim do czynienia, a gdziekolwiek się zwrócił, zamknięto mu drzwi przed nosem. Chodził z miejsca na miejsce, od drzwi do drzwi, a gdy może po raz setny przyszedł do pewnego pana, który najdłużej mu ufał (bo do ostatka był dobrym robotnikiem), pan ten, znający jego historię, rzekł: — Zdaje mi się, że jesteście niepoprawni; znam jedną tylko istotę

na świecie, która mogłaby was ocalić; nie licząc więc na mnie, dopóki ona nie zajmie się wami. — Tak mu powiedział w wielkim gniewie i oburzeniu.

— Aha! — wtrącił gentleman. — Co dalej?

— Tedy Ryszard poszedł do niej i ukląkł przed nią, opowiedział wszystko i prosił, by go ocaliła.

— A ona? No, niechże się pani tak nie przejmuj, pani Tugby.

— Ona przyszła do mnie pewnego wieczora i zapytała, czy nie mogłaby dostać mieszkania? — To, czym on był dla mnie dawniej, leży w grobie, tak samo jak to, czym ja byłam dla niego. Ale namyśliłam się i postanowiłam go ratować, przez wspomnienie miłości tej lekkomyślnej dziewczyny (pani ją znała), która w pewien Nowy Rok miała zostać jego żoną. — Mówiła też, że przychodził do niej z polecenia Lilly i że Lilly miała do niego zaufanie, czego ona nigdy nie zapomni. Pobrali się więc, a gdy przyszli do domu i zobaczyłam ich, musiałam pomyśleć; oby takie przepowiednie, jakie rozłączyły ich w młodości, nigdy się już nie spełniały, a przynajmniej ja nie chciałabym takich przepowiedni wygłaszać za żadne skarby świata.

Gentleman wstał z beczki i przeciągając się, rzekł: — A po ślubie zaczął się zapewne źle z nią obchodzić?

— Nie zdaje mi się, aby jej kiedykolwiek wyrządził był jaką krzywdę, — odparła pani Tugby, potrząsając głową i ocierając sobie oczy. — Przez jakiś czas powstrzymywał się od picia; ale nałóg ten zbyt już był w nim zakorzeniony, by mógł go przezwyciężyć. Pewnego dnia przyszedł do domu pijany, co zaczęło się powtarzać coraz częściej, aż



się obłożnie rozchorował. Zdaje mi się, że zawsze był do niej przywiązany. Wiem, bo widziałem, jak, drżąc i płacząc, chciał ją całować po rękach i nazywał ją Małgosią, mówiąc, że to jej dziewiętnasta rocznica urodzin. Leżał teraz przez długie tygodnie i miesiące. Zajęta zupełnie pielęgnowaniem jego dziecka, nie mogła pracować regularnie, wskutek czego straciła zarobek. Nie wiem doprawdy, jak oni odtąd żyli.

— Ale ja wiem, — mruknął pan Tugby, zerkając oczyma to na szufladkę z pieniędzmi, to na żonę, i kiwając głową z wyrazem niezrównanej przebiegłości, — jak dwa koguty.

Mowę jego przerwał bolesny okrzyk z pietra. Gentleman rzucił się ku drzwiom. — Mój przyjacielu, — rzekł, odwracając głowę, — nie potrzebujesz się już klócić, czy go odwiedzić do przytułku, czy zostawić. Zaoszczędził wam dalszej sprzeczki.

Szybko wbiegł na schody, za nim pani Tugby, gdy pan Tugby podążał powoli za nią, sapiąc i mrucząc do siebie; zawartość kasetki, w której było dużo miedziaków, spotęgowała jeszcze jego astmę.

Trotty wraz z dzieckiem popłynął w górę schodów, jakby był powietrzem.

— Za nią, za nią! — Znów słyszał upiorne głosy dzwonów, powtarzające te słowa. — Ucz się od istoty, najbliższej twemu sercu. — Skończyło się. I oto ona, swego ojca duma i radość, ta wynędzniała, wychudła kobieta, płacząca koło łóżka, a raczej barłogu, tuląca do piersi dziecko, na które spoglądała. Kto zdoła opisać, jak mizernie i chorowicie wyglądało to dziecko! I kto zdoła wyrazić, jak je kochała!

— Dzięki Bogu! — rzekł Toby, składając ręce i podnosząc je ku niebu, — dzięki Bogu, ona kocha dziecko!

Gentleman, który nie był ani twardego serca, ani obojętny na podobne sceny, lecz po prostu widywał je codziennie i wiedział, że podług obliczeń pana Filera były to tylko cyfry zupełnie bez znaczenia, położył rękę na sercu, już niebijącym, i nadśluchując, czy jeszcze oddycha, rzekł: — Skończyły się męki. Tym lepiej!

Pani Tugby próbowała pocieszać nieszczęśliwą serdecznymi słowy, pan Tugby argumentami filozoficznymi.

— Tak, tak, — mówił, trzymając ręce w naładowanych kieszeniach, — nie trzeba się poddawać. Trzeba umieć walczyć. Co by się było stało ze mną, gdybym nie umiał się bronić, kiedy jeszcze byłem portierem. Nieraz podczas nocy pukano ze sześć razy do naszej bramy, że to niby ktoś przyjechał. Ale ja wiedziałem, że chcą mnie wystrychnąć na dudka i z całym spokojem ducha nie otwierałem bramy.

Trotty znów słyszał głosy: — Idź za nią! — Odwrócił się do swego przewodnika i ujrzał, że wzbil się on w powietrze i uleciał. — Idź za nią! — zawołał z wysokości i zniknął. A niewidzialny Trotty okrążył córkę, siadł u jej stóp, szukał w jej twarzy śladu dawnego wyglądu, nadśluchiwał dźwięku jej dawnego dźwięcznego głosu. Okrążył dziecko, mające starczy wygląd, takie wątle, takie przerażające w swej powadze, takie pożałowania godne w swym smutnym, cichym, bolesnym płaczu. Ubóstwiał je, czepiał się go, jako jedynej swej podpory, jako jedy-

nego węzła, łączącego go jeszcze z życiem. Swą nadzieję ojcowską i całe swe zaufanie pokładał w tym wątłym dziecku, czuwał nad każdym jego spojrzeniem, gdy je matka trzymała w objęciach, i po tysiackroć powtarzał: — Ona je kocha! Bogu dzięki! Ona je kocha!

Widział, jak gospodyni domu czuwała przy niej przez długą chwilę, po czym znów wróciła w nocy, gdy zrzedzący jej mąż spał, i uspakajała ją, i płakała z nią razem, i przyniosła jej trochę pożywienia. Widział znów nadchodzący dzień i zapadającą po nim noc, i znów dzień i noc. Widział, jak wyniesiono z domu zwłoki, a w izbie została tylko ona z dzieckiem. Słyszał, jak jęczało i kwiliło, widział, że nieustannie wystawiało na próbę jej cierpliwość, a gdy zasnęła z wyczerpania, znów ją budziło, drobnymi rączkami przykuwając ją do ławy tortur. Ale ona wciąż była dla dziecka łagodna i cierpliwa. Cierpliwa! Była jego kochającą matką, a życie dziecka tak związane było z jej życiem, jak wtedy, gdy jeszcze było w jej łonie.

W ciągu całego tego czasu cierpiała niedostatek, gorzką, straszną nędzę. Z dzieckiem na ręku chodziła tu i tam, szukając zajęcia, a gdy leżało na jej kolanach, zwracając ku niej mizerną twarzą, pracowała za najmarniejsze wynagrodzenie, szyła dniami i nocami za tyle groszy, ile zegar słoneczny ma cyfr. Gdyby bodaj raz zniecierpliwiła się na dziecko, lub je zaniedbała, lub przez chwilę gniewała się na nie, lub uderzyła je w rozdrażnieniu! Nigdy! A Tobie pocieszał się: — Wciąż je kocha jeszczel

Nikomui nie mówiła o swej bledzie, a dnie spędzała poza domem, by jedyna przyjaciółka nie zadawała jej pytań. Bo wszelka pomoc, jakiej jej udzieliła, powodowała sprzeczkę między tą dobrą kobietą a jej mężem, a dla Małgosi było to nową męką, że jest przyczyną kłótni i niesnasek w domu, któremu miała tyle do zawdzięczenia.

Kochała jeszcze swe dziecko, kochała je coraz bardziej, ale miłość jej przybrała inną formę.

Pewnej nocy chodziła po izbie, chcąc je uspokoić, i śpiewała cicho, by zasnęło. Wtem rozwarły się drzwi i wszedł jakiś mężczyzna.

— Po raz ostatni! — rzekł.

— William Fern!

— Po raz ostatni!

Nadśłuchiwał, jak człowiek ścigany, po czy rzekł szeptem:

— Małgorzato, czas mój się kończy. Nie mogłem jednak odejść, bez pożegnania z tobą, bez podziękowania.

— Coście zrobili? — zapytała i spojrzała nań przerażona.

Podniósł na nią wzrok, lecz nie odpowiedział.

Po chwili milczenia wykonał ręką ruch, jakby chciał odsunąć jej pytanie lub jakby chciał je unicestwić, i rzekł: — Dawno to już temu, Małgorzato, ale ta noc żyje tak wyraźnie w moim wspomnieniu, jakby to było wczoraj. Nie myśleliśmy wówczas, — dodał, rozglądając się dokoła, — że znów się zobaczymy w takich warunkach. Czy to twoje dziecko, Małgorzato? Pozwól mi je wziąć na rękę. Pozwól mi potrzymać twe dziecko.

Umieścił kapelusz na podłodze i wziął dziecko na ręce, drżąc przy tym cały.

— Dziewczynka?

— Tak,

Ręką zakrył drobną twarzyczkę.

— Patrz, Małgorzato, tak jestem słaby, że nie mam odwagi spojrzeć na dziecko. Zostaw mi je na chwilę. Nie zrobię mu nic złego. Tak już dawno temu... ale jak się ona nazywa?

— Małgorzata, — odrzekła szybko.

— To mnie cieszy, — rzekł, — to mnie cieszy.

Zdawało się, że poczuł się swobodniej; potrzymawszy dziecko przez chwilę, odsunął rękę i spojrział mu w twarz. Ale zaraz znów ją zasłonił.

— To Lilly!

— Lilly!

— Takie samo dziecko trzymałem na ręku, kiedy matka Lilly umarła i zostawiła mi ją!

— Gdy matka Lilly umarła i zostawiła ją! — powtórzyła Małgosia głosem wzburzonym.

— Czemu powiedziałaś to z takim wzburzeniem? Czemu się tak wpatrujesz we mnie, Małgorzato?

Padła na krzesło, przycisnęła dziecko do piersi i zapłakała. Chwilami odsuwała je nieco od siebie, trwożnie wpatrując się w jego twarzyczkę. I znów je przycisnęła do piersi. Gdy patrzyła na nie, do miłości jej przyłączało się coś dzikiego, coś straszego. Wtedy stary jej ojciec zapłakał.

— Idź za nią! — rozbrzmiewało po domu, — ucz się od istoty, najbliższej twemu sercu!

— Małgorzato, — rzekł Fern, pochylając się nad nią i całując ją w czoło. Dziękuję po raz ostatni. Dobranoc! Bywaj zdrowa! Podaj mi rękę i powiedz,

że od tej chwili zapomnisz mnie i będziesz myśleć, jako o kimś, kto już skończył.

— Coście zrobili? — zapytała znowu.

— Tej nocy wybuchnie pożar, — rzekł, odsuwając się od niej. — Dużo będzie pożarów tej zimy, by rozświecały ciemne noce — rano, w południe, wieczór i o północy. Gdy na niebie zobaczysz lunę, będziesz wiedziała, że się pali. Gdy w dali zobaczysz lunę na niebie, nie myśl już o mnie. A jeśli będziesz myślała, to pomyśl, jakie piekło płonie w mojej duszy, i pomyśl, że widzisz jego płomienie, odbijające się w chmurach. Dobranoc! Bywaj zdrowa!

Zawołała na niego, by wrócił, lecz już go nie było. Siedziała tak zmartwiała, aż dziecko przywołało ją do przytomności, do uświadomienia sobie głodu, zimna i mroku. Przez całą długą noc chodziła z dzieckiem po izbie, by je uspokoić, powtarzając od czasu do czasu: — Jak Lilly, kiedy jej matka umarła i zostawiła ją!

Czemu chód jej był tak szybki, wzrok tak dziki, miłość do dziecka tak gońca i straszna, gdy powtarzała te słowa?

— A jednak to miłość, — mówił do siebie Trotty, — miłość! Nigdy nie przestanie go kochać. Moja biedna Małgosia!

Nazajutrz rano ubrała dziecko z niezwykłą starannością — ach, jakże daremny to trud, mimo tylu starań, gdy sukienki są tak nędzne! — i raz jeszcze próbowała zdobyć jakiś zarobek. Był to ostatni dzień starego roku. Chodziła do samego wieczora przez cały dzień nie mając nic w ustach. Wszystko na próżno!

Wmieszała się w tłum biedaków, czekając na śniegu, aż urzędnik rozdzielający publiczne jałmużny — jałmużny oficjalne, nie te, o jakich mówi kazanie na Górze — raczy ich wezwać, by jednemu rzec: — pójdziesz tu i tu, — drugiemu: — przyjdź w przyszłym tygodniu, — a z trzeciego zrobić piłkę, rzucaną z ręki do ręki, z domu do domu, aż wyczerpany położy się, by umrzeć, lub zdobędzie się na odwagę i, popełniwszy rabunek, stanie się złoczyńcą wyższego rzędu, którego pretensje nie znoszą zwłoki.

I tu czekała na próżno. Kochała swe dziecko i pragnęła, by spoczywało na jej sercu, — tyle tylko.

Noc zapadła, ponura, ciemna, przerażająco zimna. Przyciskając dziecko do piersi, by je ogrzać, doszła do domu, w którym mieściła się jej izba. Była tak osłabiona i czuła taki zamęt w głowie, że nie widziała nikogo we drzwiach i dopiero gdy chciała wejść, zobaczyła gospodarza, który tak się ustawił — przy jego tuszy nie było to rzeczą trudną — że zabarykadowywał całe wejście.

— O, — rzekł cicho, — więc wróciłaś?

Spojrzała na dziecko i wstrząsnęła głową.

— Czy nie sądzisz, że dość już długo mieszkacie tu, nie płacąc czynszu? Czy nie sądzisz, że nie płacąc ani grosza, aż nazbyt często jednak odwiedzałaś ten sklep? — pytał pan Tugby.

Wykonała ten sam niemy gest.

— A gdybyś tak spróbowała kupować gdzie indziej, i gdybyś tak rozejrzała się za innym mieszkaniem? Czy nie sądzisz, że byłoby to możliwe?

Odpowiedziała cichym głosem, że już bardzo późno. Jutro to zrobi.

— Widzę już czego chcesz i jaki masz zamiar — rzekł Tugby. — Wiesz, że w tym domu, jeśli o tę sprawę chodzi, są dwie partie i chcesz doprowadzić znów do sprzeczki. Byłoby to dla ciebie wielce przyjemne. Ale ja nie chcę mieć w domu kłótni, i dlatego mówię ci spokojnie. Jeśli się nie wyniesiesz, potrafię też przemówić głośno, głośniejsz, niżby ci mogło to być przyjemne. Do domu już jednak nie wejdiesz, tak postanowiłem.

Odgarnęła włosy z czoła i szybko podniosła oczy ku niebu i ciemnym, groźnym chmúrom.

— Ostatni dziś wieczór starego roku, a ja nie chcę kłótni i sprzeczek przenosić na nowy rok, dlatego tylko, aby się przypodobać tobie, czy komukolwiek, — rzekł Tugby, w małym zakresie „przyjaciół i ojców” ubogich. — Dziwię się, że się nie wstydzisz rozpoczynać nowy rok takimi intrygami. Jeśli nie masz nic lepszego do roboty, tylko ustawicznie waśnić męża i żonę, to lepiej wynoś się. Precz mi stąd!

— Za nią! W rozpacz!

Znów Trotty usłyszał głosy napowietrzne, a podniósłszy oczy, zobaczył unoszące się nad nim postacie, wskazujące mu ciemną uliczkę, w którą weszła.

— Ona je kochała, — wykrzyknął trwoźnie i błagalnie zarazem: — O dzwony, ona je jeszcze kocha!

— Za nią!

Nad drogą, którą przeszła, unosiły się cienie, niby ciężkie chmury.

Szedł za nią, tuż za nią. Spojrzał jej w twarz. Wciąż jeszcze widział na niej ten sam wyraz, dziki



i straszny, obok miłości macierzyńskiej. Promienio-  
wał on z jej oczu, gdy z ust raz po raz wybiegały  
słowa: — Umrzeć jak Lilly; jak Lilly!

Oh, gdybyż ją coś zdołało obudzić z tego strasz-  
nego stanu! Widok, czy dźwięk lub zapach, mogący  
w jej pamięci wskresić jakieś serdeczne wspomnie-  
nie! Gdybyż z przeszłości przemówił do niej jeden  
bodaj miły obraz!

— Ja byłem jej ojcem! Ja byłem jej ojcem! —  
rzekł starzec, wyciągając ręce ku mrocznym cie-  
niom, unoszącym się nad jego głową. — Zlitujcie  
się nad nią i nade mną! Dokąd ona idzie? Niech za-  
wróci; ja byłem jej ojcem!

Ale one wskazywały mu tylko ją, biegnącą coraz  
szybciej, i mówiły: — W rozpacz! Ucz się od istoty,  
najbliższej twemu sercu!

Setki głosów odpowiedziały echem. Powietrze  
było tylko tchnieniem, na którym unosily się te sło-  
wa Trotty, zdawało się, wchłaniał je z każdym od-  
dechem. Nie mógł im umknąć, bo zewsząd go ota-  
czały. A ona wciąż mknęła naprzód, z tym samym  
płomieniem w oczach, z tymi samymi słowy na  
ustach: — Umrzeć jak Lilly, jak Lilly!

Nagle przystanęła.

— Każcie jej zawrócić! — krzyknął starzec, roz-  
paczliwie wyrwijąc sobie siwe włosy. — Moje  
dziecko, Małgosia! Każ jej zawrócić; Ojczę Nie-  
bieski, każ jej zawrócić!

Swym wytartym płaszczem otulała dziecko. Gła-  
dziła mu nóżki rozgrzankowanymi rękami, ukła-  
dała mu wygodniej główkę, poprawiała na nim mi-  
zerne odzienie. W swych zwiędłych ramionach trzy-  
mała je silnie, jakby chciała je zatrzymać w nich

na zawsze, a wyschłymi wargami całowała je w ostatnim wybuchu cierpienia i w ostatniej długiej walce miłości.

Drobną jego rączkę oplotła sobie dokoła szyi, po czym przycisnęła je do zrozpaczonego serca, do twarzy swej przytuliła twarzyczkę dziecka, a potem pomknęła w kierunku rzeki. W kierunku huczącej, rwącej, ponurej rzeki, nad którą przycupnęła noc zimowa, niby ostatnia myśl tych wszystkich, co tu szukali ratunku, gdzie pojedyncze światła nadbrzeżne płonęły czerwono i niepewnie, niby pochodnie wskazujące drogę śmierci, gdzie żadne domoswto ludzi żyjących nie rzuciło cienia w ten mrok głęboki, smutny, nieprzenikniony.

Ku rzecel! Ku tym podwojom wieczności mknęły jej zrozpaczone kroki z szybkością wód pędzących do morza. Chciał jej dotknąć, gdy przebiegała obok niego w kierunku ciemnej powierzchni wody, lecz dzika, umęczona postać, straszna rozpaczą miłości, nie dała się już powstrzymać żadnym ludzkim uczuciom i musnęła go jak wiatr.

Biegł za nią. Na chwilę przed wykonaniem straszego skoku przystanąła u brzegu. Padł na kolana, wołając do postaci dzwonów, unoszących się nad nim: — Nauczyłem się od niej, od istoty, najbliższej memu sercu. Ratujcie ją, och, ratujcie!

Palcami mógł dotknąć jej sukni. Mógł ją ująć. Zaledwie słowa te wybiegły z jego ust, uczuł, że odzyskuje zmysł dotyku i że może ją wstrzymać.

Postacie ustawicznie spoglądały nań z góry.

— Nauczyłem się już, — wykrzyknął starzec. — O, miejcie nade mną litość w tej go!zinie, gdy z miłości do niej, tak młodej i tak dobrej, lżyłem naturę,

mówiącą głosem rozpaczony w sercach matek. Ulitujcie się nad moim zuchwalstwem, złością i niewiedzą i ocalcie ją!

Czuł, że dłużej już jej utrzymać nie zdoła. A duchy wciąż milczały.

— Zlitujcie się nad nią! — wołał. — Ta straszna zbrodnia zrodziła się ze spaczony miłości, z najsilniejszej, najgłębszej miłości, jaką znają śmiertelni. Pomyślcie, jak wielki musiał być jej ból, jeśli z takiego nasienia taki się zrodził owoc. Niebo przeznaczyło ją do dobrego. Nie ma na świecie kochającej matki, która nie doszłaby do tego, gdyby musiała być tak żyć. O, zlitujcie się nad moim dzieckiem, które nawet w tej chwili lituje się nad swoim dzieckiem, i samo umiera i zabija swą duszę nieśmiertelną, aby je ocalić!

Leżała w jego objęciach. A on ją rzywał silnie. Czuł w sobie siłę olbrzyma.

— Widzę pośród was ducha dzwonów, — rzekł starzec, zobaczywszy dziecko, i, natchniony niejako jego widokiem, mówił dalej: — Wiem, że dziedzictwo nasze znajduje się w rękach czasu. Wiem, że pewnego dnia wzbierze ocean czasu, i niby liście spluka tych, co nas krzywdzą i ei nieją. Widzę to morze, jak wzbiera się i podnosi. Wiem, że powinniśmy ufać i mieć nadzieję i nie wątpić o dobrym pierwiastku, ani w nas samych, ani w innych. Nauczyłem się tego od istoty, najbliższej memu sercu. Znów ją trzymam w objęciach. O, dobre, łaskawe duchy, naukę tę zapisuję w piersi, do której ją tulę. O, dobre, łaskawe duchy, jestem wam wdzięczny!

Byłby mówił jeszcze więcej, gdyby dzwony, sta-

re, kochane dzwony, jego dobrzy, wieczni przyjaciele nie były w tej chwili na przywitanie Nowego Roku zaczęły dzwonić tak wesoło, radośnie i donośnie, że zerwał się na równe nogi i przełamał czar, trzymający go na uwięzi.

— Możesz, tатku, robić co chcesz, — rzekła Małgosia, — ale ja ci już nigdy nie pozwolę jeść flaków, jeśli wpiерw nie zapytasz lekarza, czy ci to nie szkodzi. Nie masz pojęcia, jaki miałeś niespokojny sen!

Siedziała przy stoliczku, w pobliżu ognia, szyjąc swą skromną sukienkę ślubną, którą przybierała wstążkami. Cała jej postać promieniowała takim szczęściem, urodą, wdziękiem i dobrą wiarą, że Trotty krzyknął głośno, jakby w izbie swej zobaczył był anioła. Następnie zerwał się i pochwycił ją w objęcia. Ale nogi zaplątały mu się w gazetę, która spadła na ziemię, a tymczasem ktoś wsunął się między niego a Małgosię.

— Nie, — rzekł ów ktoś głosem serdecznym i wesołym. — Nawet nie ty. Pierwszy całus Małgosi w Nowy Rok mnie się należy. Mnie! Całą godzinę stałem przed domem, by usłyszeć dzwony i zdobyć całusa. Małgosiu, serce moje, szczęśliwego Nowego Roku! Obyśmy dożyli wielu szczęśliwych lat, najdroższa moja!

Poczym Ryszard omal nie udusił jej pocałunkami.

W czasie tej sceny Trotty poczuł się najszczęśliwszym człowiekiem na świecie. Usiadł na krześle, rękami uderzał się po kolanach i śmiał się i płakał równocześnie. Wstał z krzesła, pieścił i głaskał Mał-

gosię; potem wstał z krzesła, pieścił i głaskał Ryszarda, wreszcie wstał z krzesła i pieścił i głaskał oboje równocześnie. Podbiegł do Małgosi i ujął jej świeżą twarz w obydwie dłonie, ucałował ją, potem cofnął się wstecz, jak rak, by jej nie stracić z oczu i znów podbiegł ku niej, jak nakręcona figurka; co chwila siadał na krześle by natychmiast znów się zerwać i biec do córki. Jednym słowem, nie posiadał się z radości.

— Jutro twój ślub, dziecino najdroższa? — pytał Trotty. — Naprawdę twój ślub, Małgosiu!

— Dzisiaj, — odpowiedział Ryszard, ściskając go za ręce; — już dzisiaj. Dzwony właśnie biją na Nowy Rok. Posłuchajcie!

Biły istotnie.

Błogosław im Boże! O, jakież to wielkie, potężne dzwony, dźwięczne, głębokie, szlachetne. ulane z kruszcu niezwyklego, ulane przez mistrza niezwyklego. Czyż inaczej potrafiłyby dzwonić tak głośno jak dzisiaj?

— Małgosiu, — odezwał się Trotty, — czy dzisiaj nie sprzeczałyście się trochę z Ryszardem?

— Owszem, tatusiu, bo taki niedobry, — odparła Małgosa. — Czy nie mówię prawdy, Ryszardzie? Taki gwałtownik i uparciuch! Uwziął się, by takiemu wielkiemu panu, jak alderman, powiedzieć swe zdanie, nie krępując się, jakby chodziło o...

— O pocałowanie Małgosi, — dokończył Ryszard i od razu też to wykonał.

— Doprawdy, że ani odrobiny więcej. Ale ja mu nie pozwoliłam. Bo i na co by się to przydało.

— Ryszardzie, — rzekł Trotty, — chłop z ciebie na schwał, i taki już będziesz do końca życia. Ale dziś wieczór płakałaś, Małgosiu, gdy wróciłem do domu. Powiedz, dlaczego płakałaś?

— Myślałam, ojcze, o tych latach, któreśmy razem tu przeżyli. Tylko dlatego. I myślałam, że będziesz się czuł samotny, gdy odejdę.

— Trotty znów wrócił do swego krzesła, gdy zbudzona głośną rozmową dziewczynka weszła do izby, nawpół ubrana.

— Oto jest, — rzekł Trotty, biorąc ją na kolana, — oto jest mała Lilly. Ha, ha! Tu jesteśmy i tu pójdziemy. Tu jesteśmy i tu pójdziemy. A ty, Will, także!

Zatrzymał się, by go serdecznie przywitać. — Ach, wujaszku, Willu, jakież ja widzenie miałem dzisiejszej nocy, dlatego, że was przyjąłem w gościnę. Ach, wuju Willu, jakże wam jestem wdzięczny, żeście do mnie przyszli, kochany przyjacielu!

Zanim Will Fern zdołał odpowiedzieć, weszło do izby kilku muzykantów w licznym towarzystwie sąsiadów, wołając: — Szczęśliwego Nowego Roku, Małgosiu! Szczęśliwych zaślubin. I długiego, długiego życia! — Trębacz, najbliższy przyjaciel Toba, wystąpił na środek izby i w te odezwał się słowa: — Trotty Beck, stary druha, dowiedzieliśmy się, że córka twoja wychodzi dziś zamaż. Nie ma ani jednego człowieka, który by was znał i nie życzył wam szczęścia, lub ją znał, i nie życzył jej wszystkiego najlepszego, lub znał was oboje i nie przagnął dla was wszelkiego błogostawieństwa z tym Nowym Rokiem. I po to tu przyszliśmy, byście ten Nowy Rok rozpoczęli muzyką i tańcem.

Przemówienie to przyjęto ogólną radością i okrzykami. Trębacz był wprawdzie trochę podпиты, ale cóż to szkodził

— Co to za szczęście, — rzekł Trotty, — że mogę cieszyć się takim poważaniem swych przyjaciół i sąsiadów. Wiem, że wszystko to robicie dla mojej córki. Zasługuje ona na waszą życzliwość.

W jednej sekundzie byli wszyscy gotowi do tańca, w pierwszej parze Małgosia z Ryszardem. Trębacz miał właśnie zadać z całej siły, gdy nagle odezwały się dziwne dźwięki i weszła obieta o dobroduszej, miłej twarzy, mogąca liczyć około pięćdziesiątki, a obok niej szedł mężczyzna, niosący dzban kamieni olbrzymich rozmiarów, obok niego zaś, na tacy, kości szpikowe, piszczałki i dzwonki.

Trotty rzekł: — To pani Chickenstalker! — siadł na krześle i uderzył się po kolanach.

— Małgosiu, jakże mogłaś! Wychodzisz za mąż i nic mi nie powiedziałaś! — rzekła tonem dobrotliwego wyrzutu. — Nie mogłabym spędzić spokojnie ostatniego wieczora starego roku, gdybym nie przyszła ci powinszować. Naprawdę, Małgosiu, że byłabym przyszła, chociażbym nawet była obłożnie chora. A więc przyszłam, a ponieważ mamy i Nowy Rok i wesele, więc kazałam odrazu coś przygotować, byśmy sobie urządzili małą bibę.

„Mała biba“ pani Chickenstalker świadczyła o jej szczodropliwości. Kamienny dzban syczał i dymlł, jak mały wulkan, a człowiek, niosący go na tacy, miał co dźwigać.

— Pani Tugby, — rzekł Trotty, krążąc dokoła niej pełen zachwytu, — chciałem rzec: pani Chic-

kenstalker, niech pani Bóg nagrodzi. Szczęśliwego Nowego Roku i długiego życia, pani Tugby, — rzekł Trotty, całując ją, — chciałem powiedzieć: pani Chickenstalker. A oto William Fern i Lilly.

Godna niewiasta, ku jego zdumieniu, nagle poczerwieniała i zbladła.

— Chyba nie Lilly Fern, której matka umarła w Dorsetshire? — zapytała.

Wujaszek Will skinął potakująco, po czym szybko zamienili z sobą parę słów, których wynik był taki, że pani Chickenstalker uściśnięła mu obydwie ręce, Toba z własnej woli pocałowała w policzek, a dziewczynkę przycisnęła do swej potężnej piersi.

— Willu Fern, — rzekł Trotty, — czyżby krewna, którą chcieliście odszukać?

— Tak, — odparł Will, kładąc obydwie ręce na ramionach Toba, — a jak się zdaje, znalazłem w niej równie dobrą krewną, jak w was dobrego, o ile to możliwe, przyjaciela.

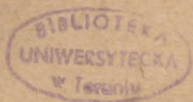
— Ach! — bronił się Trotty. — Hej, muzykanci, a możebyście co zagrali?

Przy dźwięku muzyki, piszczałek, dzwonek i kości szpikowych, i przy akompaniamencie wciąż jeszcze z wieży rozbrzmiewających dzwonek, Trotty poprowadził do tańca panią Chickenstalker, ustawivszy się z nią jako druga para, tuż za Ryszardem i Małgosią, i podrygiwał obok niej, wykonywując kroki taneczne, nieznane ani przedtem ani później, bo stanowiące pewną odmianę jego zwykłego codziennego kłusa.

Czy Trotty śnił, czy jego radości, cierpienia, czy aktorzy biorący w nich udział, byli tylko snem?



On sam, byłaby tylko snem? A opowiadający tę historię, marzycielem, który dopiero co zbudził się ze snu? Jeśli tak, to proszę cię, kochany czytelniku, wyrój sobie w duszy przykrą rzeczywistość, z której cienie te się wyłoniły, i staraj się w swoim kółku — żadne nie jest zbyt wielkie, ni zbyt małe do tego celu — ulepszyć ją i uczynić mniej przygniatającą. Oby ten Nowy Rok szczęśliwy był dla ciebie i dla wielu, których szczęście jest od ciebie zależne! Oby ten Nowy Rok szczęśliwszy był od poprzedniego, i oby nikt z najbiedniejszych naszych braci i siostr nie został wyłączony ze sprawiedliwego udziału w tym, co wielki nasz Stwórca stworzył dla ludzkiego użytku!



kenstalker, niech pani Bóg nagrodzi. Szczęśliwego Nowego Roku i długiego życia, pani Tugby, — rzekł Trotty, całując ją, — chciałem powiedzieć: pani Chickenstalker. A oto William Fern i Lilly.

Godna niewiasta, ku jego zdumieniu, nagle poczerwieniała i zbladła.

— Chyba nie Lilly Fern, której matka umarła w Dorsetshire? — zapytała.

Wujaszek Will skinął potakująco, po czym szybko zamienili z sobą parę słów, których wynik był taki, że pani Chickenstalker uściśnieła mu obydwie ręce, Toba z własnej woli pocałowała w policzek, a dziewczynkę przycisnęła do swej potężnej piersi.

— Willu Fern, — rzekł Trotty, — czyżby krewna, którą chcieliście odszukać?

— Tak, — odparł Will, kładąc obydwie ręce na ramionach Toba, — a jak się zdaje, znalazłem w niej równie dobrą krewną, jak w was dobrego, o ile to możliwe, przyjaciela.

— Ach! — bronił się Trotty. — Hej, muzykanci, a możebyście co zagrali?

Przy dźwięku muzyki, piszczałek, dzwonek i kości szpikowych, i przy akompaniamencie wciąż jeszcze z wieży rozbrzmiewających dzwonek, Trotty poprowadził do tańca panią Chickenstalker, ustawiwszy się z nią jako druga para, tuż za Ryszardem i Małgosią, i podrygiwał obok niej, wykonywując kroki taneczne, nieznanne ani przedtem ani później, bo stanowiące pewną odmianę jego zwykłego codziennego kłusa.

Czy Trotty śnił, czy jego radości, cierpienia, czy aktorzy biorący w nich udział, byli tylko snem?

On sam, byłżeby tylko snem? A opowiadający tę historię, marzycielem, który dopiero co zbudził się ze snu? Jeśli tak, to proszę cię, kochany czytelniku, wyrzyj sobie w duszy przykrą rzeczywistość, z której cienie te się wyłoniły, i staraj się w swoim kółku — żadne nie jest zbyt wielkie, ni zbyt małe do tego celu — ulepszyć ją i ją ukryć, ukrytą, tajemną. Oby ten Nowy Rok był dla wielu, których szkodliwie! Oby ten Nowy Rok był dla przedniego, i oby nikt z rodziny i siostr nie został wykluczony z udziału w tym, co wielce służyło ludzkiego użytku!



Biblioteka Główna UMK



300000763727

---

Drukarnia „Wiedzy” Nr 2, Wrocław, ul. Wierzbowa 30.

F 6105